DROBIAZGI

z różnych czasów

przez

A. WYBRANOWSKIEGO.

LWÓW.
Z drukarni „Dziennika Polskiego“
pod zarządem Fr. Kattnera.

— „Daję nie obrazy, ani szkice, ale tylko skromne sylwetki z przeszłości — choć aż nadto rozumiem, że z profilu wykrojonego z czarnego papieru i to nie wprawną jak moja ręka, trudno się wnukom domyśleć o życiu, jakie w piersiach ich dziadów biło. Zbieram pojedyncze rysy, nim zniszczy je pleśń wiekowa do szczętu, gdyż mimo woli czuje się dreszcz trwogi na myśl, że niejedna cicha, a czasem i wielka zasługa zapomnieniu ulegnie.“

I.

Jenerał Wybranowski.

Któż z nas sobie nie przypomina tej miłej i ujmującej powierzchowności człowieka, który na pierwszy rzut oka zdradzał swój charakter wojskowy. Wyprostowany, choć głowa białym włosem okryta, chód równy — bez wąsów z krótkiemi francuskiemi faworytami — chustka czarna gładka jak do munduru zawiązana i złoty kulczyk w uchu.

Taka była postawa pułkownika Wybranowskiego w całem znaczeniu tego słowa żołnierza z epoki cesarza Napoleona I i później za wielkiego księcia Konstantego w Warszawie.

Roman Wybranowski, syn stolnika lubelskiego, Domicjusza Wybranowskiego i Salomei Deszortówney, urodził się dnia 9. sierpnia 1789 roku w Żurowie nad Dniestrem.

Po skończeniu nauk w kolegjum Franciszkanów we Lwowie, w młodym wieku, w pamiętnym roku 1809 dnia 2 maja zaciągnął się do oddziału pułkownika Strzyżowskiego do 3 go pułku ułanów.

Jak w całej Polsce obudzone nadzieje oswobodzenia Ojczyzny obietnicami cesarza Napolena wywołały zapał, tak i u nas w Galicji ogarnął on umysły młodzieży i ludzi starszych powołał do czynu.

Powstanie pułkownika Strzyżowskiego, a potem odezwa księcia Poniatowskiego, czyli rozkaz dzienny, wydany w głównej kwaterze w Trześnie 2. czerwca nr. 2, który mamy przed sobą, wzmocnił te nadzieje.

W nim książę postanawia:

„Gdy zajęcie Lwowa przez wojsko pod komendą moją zostające, postawia mnie w sposobności działania z mniejszą arbitralnością, niż dotąd, przy początkowem wkroczeniu do Galicji przymuszony byłem, bądź bezpośrednio, bądź przez mego jeneralnego intendenta wojska postąpić sobie, osądziłem za rzecz potrzebną, postanowić co następuje:

Artykuł I.

Dla zastąpienia rządu galicyjskiego, gubernjum zwanego, któreby osoby, za zbliżeniem się wojska naszego, opuściły swe miejsca, ustanawiam tymczasowie wojskowy rzad centralny, pod prezydencją JW. ordynata Zamoyskiego; złożony z JPana Ignacego Miączyńskiego, Tadeusza Matuszewicza i czterech innych członków, których mianować później sobie zachowuję. Obowiązkiem tego tymczasowego rządu centralnego będzie zatrudniać się organizacją krajową, sądownictwem, policją, podatkami, jednem słowem, tem wszystkiem, czem wyżej wspomniany rząd dawniejszy, gubernjum, trudnił się.

Artykuł II.

Mianowany w artykule I. rząd ma natychmiast udać się do Lwowa, jako stołecznego miasta Galicji, gdzie urzędowanie swoje niezwłocznie rozpocznie pod nazwiskiem: rząd wojskowy tymczasowy centralny pod protekcją najjaśniejszego cesarza IMCI i króla Napoleona Wielkiego. Rząd ten jako władzę moją wojenną postanawiamy; odemnie bezpośrednie rozkazy odbierać i onym tylko ulegać będzie winien.

Artykuł III.

Intendent jeneralny wojska Imć pan Rajmund Rembieliński, który w ciągłym związku z rządem centralnym zostawać powinien, a od moich jedynie dependuje rozkazów, ma sobie polecone, urządzić jak najstosowniej do okoliczności, swój departament; aby wszystkie fundusze i własności publiczne na rzecz rządu wojskowego zabrane i obrócone, a wszystkie składy i magazyny do rządu austrjackiego należące i przez wojsko pod moją komendą zajęte, w całości na potrzeby tegoż wojska użyte były. Wszystkie oraz rekwizycje jakiegokolwiek bądź gatunku, których potrzebę dla wojska, ordonnator mu przedłoży, władzom cyrkułowym rozkładać i zebranie onych, oraz przystawienie na miejsca i czas oznaczony nakazać, a prócz tego, to wszystko wykonywać powinien będzie, do czego przezemnie szczególnemi rozkazami lub instrukcjami upoważnionym zostanie.

Artykuł IV.

Udanie się i działanie w tych miejscach, gdzie bytność swoją za potrzebę osądzi, zostawia

*

sie woli Imć pana intendenta jeneralnego wojska, który mnie uwiadamiać będzie winien, gdzie się znajduje.

Artykuł V.

Imć pan Horodyski ma być przy mnie referentem w okolicznościach wszystkich, rządu Galicji tyczących się.

Artykuł VI.

Organizacja siły zbrojnej w Galicji, szczególnie i jedynie do władzy wojskowej należy.

Artykuł VII.

Lubo policja krajowa zwyczajna należy do rządu, ta jednak, która się tyczy bezpieczeństwa wojska, szczególnie przez władzę wojskową odbywać się powinna.

Artykuł VIII.

Ścisłe uskutecznienie niniejszego urządzenia, stosowanie się do wyrażonych w nim zasad, najmocniej zalecam.
Jenerał dywizji i nacz. wódz wojska polskiego

Józef książę Poniatowski.

Zgodnie z oryginałem:

Maksymiljan Lewicki,
jener. sekretarz rządu centralnego.

Odezwę, przebiegającą wówczas Galicję, jak iskra elektryczna — pozwoliłem sobie w całości przytoczyć.

Pierwszy chrzest swojej wojaczki Wybranowski otrzymał pod Tarnopolem dnia 14 lipca i należał do awanturniczej wyprawy wachmistrza Jaszczułta, który z małą garstką ludzi omal, że nie wykradł jenerała Pikinga z jego kwatery w Zagrobeli.

Zaraz po bitwie pod Tarnopolem był awansowany na podporucznika 13 pułku piechoty, zostającego pod dowództwem podpułkownika Leopolda Koziebrodzkiego. Z tym pułkiem znajdował się 26 lipca w bitwie pod Wieniawką, a 28 pod Marjampolem. Dnia 23. listopada tegoż roku otrzymał stopień porucznika.

Za bitwę pod Wieniawka został ozdobiony krzyżem „Virtuti Militari", dekretem króla saskiego i księcia warszawskiego dnia 1. stycznia 1810 roku w Warszawie.

Kampanję roku 1812 odbywał jako kapitan starszy adjutant, adjutant major, gdyż na ten stopień posunięty był w 2. pułku piechoty dnia 18 grudnia 1811 roku i przeniesiony do wielkiej armii z korpusem księcia Józefa Poniatowskiego. Znajdował się przy wzięciu Smoleńska 17. sierpnia i zaraz potem 5. i 6. września bił się pod Możajskiem, 29 września pod Czerychowem, a nareszcie 3 listopada pod Wiazmą i we wszystkich potyczkach, jakie 5 korpus odbywał w czasie swej nieszczęśliwej rejterady. Zimna febra, którą jeszcze dostał po bitwie pod Możajskiem, tak go w końcu osłabiła, iż go na lawetach do Wilna przywieziono. I gdyby nie pułkownik Krukowiecki, który się nim opiekował i zabrał do Warszawy, byłby zginął marnie, jak poginęły tysiące jego kolegów wśród zimna, nędzy i głodu.

W kampanji 1813 roku przeciwko armji sprzymierzonej był czynny w następujących bataljach. Dnia 6. września pod Gitterborg, 12. października pod Wittemberg i w bitwie na polach Lipska i w samem mieście w dniach 16., 17. i 18. października. Za odznaczenie się pod Możajskiem został ozdobiony krzyżem legji honorowej, dyplomem Napoleona z dnia 2. października 1812 r.

O pierwszem zaś odznaczeniu pisze Józef Deszert, sekretarz Stanisława Augusta, z Ozorowa 11. września 1810 r. „Przybył do nas Romanek z Warszawy, ozdobiony krzyżem wojskowym, który w sierpniu szczególną otrzymał dystynkcją na rewji całego garnizonu pod Warszawą, którą książę wódz naczelny w przytomności przejeżdżającego do Petersburga jenerała i posła saskiego odprawiał. Po skończonych manewrach książę w obecności jenerałów, całego sztabu i innych oficerów, wezwawszy na placu Romanka, oświadczył, że zasłużona sprawiedliwie przez niego nagroda, gdy go dotąd nie doszła, miło mu jest publicznie oddać w patencie królewskim, który z rąk jego odbiera. Rzadko kto w młodym wieku tak szczęśliwy, ażeby mimo intrygi i naprzykrzania się, na podobną zasłużyć nagrodę.“ Tak się wyraził wuj rodzony pisząc do siostry swojej o chlubnem odznaczeniu jej syna, młodego oficera, który wziąwszy raz mundur, nie zdjął go aż po 22 latach chwalebnej służby żołnierskiej.

W powrocie do kraju w roku 1814 miał sobie powierzone odprowadzenie zwłok księcia Józefa do Krakowa. Nie małe musiały być zasługi wojskowe i poważanie młodego oficera,

skoro spotkał go zaszczyt komendanta straży honorowej przy trumnie naczelnego wodza.

Prześladowanie, a więcej jeszcze brutalne traktowanie przez wielkiego księcia Konstantego wojska polskiego, wielu zniewoliło usunąć się od służby wojskowej. Wybranowski z wrodzoną swoją łagodnością i taktem umiał wytrwać i awansować. Posunięty po latach kilku na podpułkownika 6 pułku, w r. 1829 otrzymał honorową odznakę dwudziestoletniej służby: złotą cyfrę rzymską na pąsowej wstążce. Przedtem jeszcze stojąc z pułkiem w Pułtusku ożenił się w roku 1823 z Józefą Breniewską.

W kampanji 1831 roku na polu bitwy pod Grochowem objął komendę 6. pułku i na czele tego pułku znajdował się we wszystkich ważniejszych bitwach owej walki o niepodległość narodu. Pod Białołęką otrzymał krzyż kawalerski zasługi wojskowej. Nieszczęśliwy dopiero koniec wojny zamknął i dla niego dalszą drogę obranego zawodu.

Przeszedłszy z korpusem jenerała Romarina do Galicji, stał obozem pod Kolbuszową od sierpnia aż do połowy listopada, nim rząd austrjacki dał rozkaz, ażeby z całem gronem swoich oficerów udał się na Morawy i tam czekał dalszych rozporządzeń. Miasto Znaim przeznaczono mu na miejsce krótkiego pobytu. Niezadługo potem cesarz Mikołaj wydał amnestję i kazano się wszystkim decydowć, czy chcą powracać do kraju, czy wolą życie tułacze? Wybranowski, jako poddany austrjacki, nie korzystał z amnestji i w końcu marca powrócił do Galicji.

Wielki książę Konstanty choć męczył i prześladował — zrobił jednak z wojska polskiego

nietylko piękne lalki, jak je nazywano, gdzie każdy guzik niezapięty nie uszedł jego oka, a cóż dopiero plama na mundurze lub zła postawa — lecz o ile się tem wojskiem bawił na Saskim placu, o tyle znowu zrobił z niego wzorową armję, odznaczającą się piękną postawą, doborową musztrą, a w boju dzielnością.

Przy manewrach rozkazy dzienne były to plany najdokładniejsze dla każdego pułku — szczegółowo wyznaczone były w nim miejsca — i tak w 1829 r. 2. maja w czasie odbywających się manewrów pod Warszawą wydaje jenerał-major Donenberg bardzo dokładne i ozdobne plany, np. „kompanje wyborcze pułków linjowych 2. i 6. połączywszy się na placu Saskim i mając prawe skrzydło na czele, postępują przez stary most na Pragę do Grobli, prowadzącej od rogatek Golendzinowskich do nowego mostu i stają prawem skrzydłem o 225 kroków od poczęcia grobli ze strony mostu, a lewem skrzydłem o 425 kroków od tegoż punktu. Prócz tego zajmują też kompanje jeszcze 15 kroków na sztab bataljonowy i doboszów“. Na kartach tych najszczegółowiej jest wymienione, np. — „lewe skrzydło do drzwi domu 542 prawe skrzydło batl. sap. naprzeciw latarni obok pompy stojącej“.

Z nich możnaby dziś mieć najdokładniejszą wiadomość o tych manewrach, jak i gdzie stała każda kompanja i jak wyglądało wówczas miasto.

Z listy „starszeństwa oficerów wyższych i niższych pułku 6 piechoty linjowej od dnia 1. czerwca 1831 r.“ stan służby przedstawia się tak, że pułkownik Wybranowski służył od r. 1809, 2 majorów Radzibor Jan od r. 1803, Baranowski

Fabjan od r. 1808, jak i Suchodolski Jan — reszta od r. 1812. Tak samo z kapitanów najstarszy Bartkiewicz Aleksander od roku 1806. Manini Franciszek od r. 1808. Kopyciński Józef od r. 1809 — reszta od r. 1809 do 1820. Tak samo porucznicy, z których Sawicki Jakób od r. 1809 — reszta od r. 1817 do 1827. Podporucznicy niektórzy tylko, jak Bobrowski Ignacy, Grabowski Antoni, Lisowski Józef i Zegrzda Simplicjusz wstąpili w r. 1831.

Przed samym wybuchem własnoręcznie pisze rozkaz jenerał piechoty Stanisław Potocki do podpułkownika Wybranowskiego, dowódcy kompanji wyborczych pułku 2 i 6 piechoty.

„Plan zbioru zmienia się jak następuje:

Pułk 2. przy banku krajowym,
„ 6. przy arsenale,
„ 8 przy komisji wojny.

Jeżeli który z tych bataln. jest na warcie, będzie zastąpiony przez pułk 5

1 i 3 pułk strzelców pieszych na dziedzińcu Krasińskich. Jeżeli pułk 5 nie zastępuje innego, na ten czas również na dziedziniec Krasińskich uda się.

Pułki 1., 3. i 7. piechoty w koszarach Aleksandryjskich w gotowości udania się na plac broni.

Jeden z tych bataln. uda się do mostu nowego i oddziałem zabezpieczy prochownie na Pradze — pułk 4. w koszarach zebrawszy się, najbliższą drogą na plac broni uda się.
Szkoła podchorążych piechoty pod Belwederem.

Dnia 18. nov. 1830.

Stanisław Potocki.

Z różnych raportów pozostałych z tego czasu okazuje się siła pułków na placu boju, i tak: pułk 6. dnia 21. sierpnia 1831 w obozie pod Warszawą w trzech bataljonach wynosi w ludziach: 7. oficerów wyższych, 46 niższych, 1861 podoficerów. muzyki i żołnierzy.—Ogółem 1914—koni 21: 104 koni do pociągów nadto 1 oficer, 40 podoficerów i żołnierzy, ogółem 41 i koni 173.

Tenże pułk 11. września pod wsią Bystrzyce w trzech bat: ofic., wyż. 5., 47 niż., 1 091 podofic. i żołn. ogółem 1.743, koni 15, reszta albo zginęła na placu boju, albo w lazaretach. Kasa pułku 6. w obozie pod Powiązkami d. 22. sierpnia 1831 wynosi 16.107 zł. 17 gr.; tak ją oddaje płatnik kapitan Jankowski por. kwatr. pułk. 6. piech. linjowej porucznikowi Ant. Quapilla.

Tegoż porucznika wybrano przez głosy całego pułku, zacząwszy od pułkownika a skończywszy na podoficerach, kapelanie i dwóch lekarzach, jednogłośnie na kwatermistrza, co na ułożonej liście 63 osób każdy własnoręcznie podpisał w obozie pod Pragą 9. czerwca 1831 r.

Pułkownik tegoż pułku 6. Wybranowski pod Międzyrzyczem 6. września został podany na stopień jenerała brygady, którego jednak dla kończącej się już kampanji nie otrzymał.

Z Dąbrowicy 18. września 1831 pisze Wybranowski do jenerała brygady Zawadzkiego.

„Mam honor przedstawić jw. jenerałowi oficerów wyższych i niższych oraz podoficerów i żołnierzy, którzy świetnie odznaczyli się w boju i zasłużyli na odznaczenie, jako to:

K r z y ż e m z ł o t y m: Majora Radzibora Jana i Fiszera Konstantego, kapitana Janko-

skiego Teofila, porucznika Dekulińskiego Stanisława, Kitlińskiego Feliksa i podporucznika Pyrę Karola.

Krzyżem srebrnym: Podoficerów Hałaszkiewicza Kaspra, Bąkowskiego Pawła, Królikowskiego Ignacego. Kowaleńskiego Jana, Karlińskiego Józefa, Kiewlicza Michała, Boninka Mateusza, Polcera Jana i Szcześniaka.

Przy tym mam honor uprzedzić jw. jenerała, iż poprzednio do krzyża złotego przedstawiony porucznik Chądzyński Wawrzyniec za wyprawę przez Wisłę do Góry, i podporucznik Filipowski Paweł, a do krzyża srebrnego podoficer Brochocki Antoni i żołnierz Jastrzębski Franciszek za Terespol, takowych dotąd jeszcze nie otrzymali; raczy przeto jw. jenerał ozdoby takowe dla wzmiankowanych indywiduów wyjednać.“

Podobne zawiadomienie o odznaczeniu w Warszawie d. 9 marca 1831 nr. 287 wydaje szef sztabu głównego:

„Zawiadamiam Augusta Zielińskiego, żołnierza, iż naczelny wódz siły zbrojnej narodowej zaszczycił go ozdobą krzyża wojskowego srebrnego, na który patent w zwykłej formie później odbierzesz.

Pułkownik Chrzanowski.“

Oprócz podpisu i wymienienia nazwiska dla kogo, cała karta jest litografowana.

Przeszedłszy z całym korpusem Romarina do Galicji, stał pułk 6 jak powiedziałem w Kolbuszowy i tu nieszczęśliwe szczątki walecznej armji odbierają dowody najwyższego współczucia, a rząd austrjacki łagodnie ich traktuje. W listach,

jakie pułkownik Wybranowski odbiera 23. września, pisze z Wojnicza p. Antoni Dąmbski:

„Powodowany ludzkością, spieszę przesłać dla wojska polskiego pod dowództwem J. W. Pana zostającego, koszul, płótna, skór, byś łaskawie między najpotrzebniejszych wiarusów rozdzielić nakazał. Niech ta mała pomoc będzie oznaką uczucia koleżeńskiego żołnierza z roku 1809. ażebym starym kolegom mógł najprędzej przyjść z pomocą. Proszę wskazać, jakie są potrzeby i jakie ulgi moglibyśmy naszym uwielbionym braciom i ukochanej Ojczyźnie oddać — upraszam o łaskawe zlecenie, bo miło nam jest ubiegać się o nie — czekam rozkazów i pozostaje z uwielbieniem i uszanowaniem JW. Pana.“

Pan Dąmbski był oficerem w r. 1809 i adjutantem jenerała Sokolnickiego.

Taki sam list, ofiarujący pomoc, wysłał p. Bogusz. Donosi w nim o swojem działaniu 30. września — „jutro jadę ku Wieliczce do wiadomego komornika — niestety i Różycki z całym swoim korpusem znajduje się w Galicji, część jedna przeprawiła się przez Kraków na Podgórze, a druga pod Niepołomicami. — Cały korpus wiele ucierpiał i Moskale goniąc za nim zajęli Kraków, co złego wyniknie Bóg raczy wiedzieć. Rozliczne zatrudnienia w tym czasie nie pozwoliły mi dotąd przesłać braciom naszym, znajdującym się w Kolbuszowy zasiłków, mam już zgromadzonego trochę obuwia i koszul, ale, że mnie dochodzi wiadomość, iż rząd ma zaopatrywać odzieżą żołnierzy, nie wiem, czyby nie lepiej było co mam rozdać, dać tym, którzy się tułają?“

Od samego wstąpienia do Galicji korpusu Romarina, rząd austrjacki z ludzkością postępo-

wał, lecz i silną kontrolą wojsko polskie otoczył ciągłe raporta, pisaniny, toczą się z władzą cywilną i wojskową nietylko w Kolbuszowy, ale potem w Znajmie. Jen. Kempen koresponduje w formie urzędowej, żądając różnych raportów i dając co raz nowe instrukcje, jak internowani mają się zachować wobec władz i dalszego swojego postanowienia. Mieszkańcy, poczciwi Morawiacy, z ochotą przyjmują rozbitków i otaczają ich najżywszą sympatją. Zaraz oficerowie zostali wygodnie rozkwaterowani po mieście — z raportów pozostałych możnaby każdy dom wymienić, gdzie kto miał kwaterę, nim po kilku miesiącach jedni na mocy amnestji cara Mikołaja wrócili do kraju, a drudzy się udali na ciężką tułaczkę po świecie, z gorącą nadzieją, że krótko ona potrwa i wolni wrócą do zagród ojczystych.

Pierwsze dni pobytu w Galicji jenerał Wybranowski spędził u brata Antoniego Wybranowskiego w Kossowy, w obwodzie wadowickim. Tam zastawszy żonę, która jeszcze w zimie z troigiem małych dzieci przyjechała z Warszawy, zabawił rok prawie. Później chcac być bliżej miejsca swego urodzenia, ażeby łatwiej starać się o powrócenie mu obywatelstwa austrjackiego, wyjechał w samborskie do swego krewnego Antoniego Nahujowskiego, wielkiego myśliwego, z którym razem polując, skracał sobie czas łowami na wielkiego zwierza. Poniekąd przypominały mu one trudy bojowe i rozrywały umysł przygnębiony. Po kilkuletnim pobycie w Kropiwniku, zebrawszy szczupłe resztki swego majątku, wziął niewielką dzierżawę w stryjskiem od Franciszka Młockiego, wioskę Kłodnicę. Wła-

sny domek, pierwsze gospodarstwo, tego zacnego człowieka nowem natchnęło życiem. Zajęci oboje skrzętną pracą, zyskiwali coraz większy szacunek i miłość powszechną. W r. 1841. przeniósł się Wybranowski na Podole do majątku szkolnego kolegi Piotra Romaszkana, który mu wypuścił w obwodzie tarnopolskim wieś Ostapie, wieś dużą, prawdziwie podolską; gospodarstwo więc odmienne od tego, jakiego dopiero się nauczył, potrzebowało umiejętnego zastosowania się. Nie upadając na energji, łatwo i tu sobie dał radę. W sąsiedztwie znalazł miłych ludzi i kolegów broni, jak: w Turówce majora Antoniego Rozwadowskiego, żołnierza jeszcze z wojen napoleońskich i r. 1831, który pod Lipskiem oko stracił, serdecznego i otwartego człowieka; jego braci Wincentego i Wiktora, również wojskowych z 1831 roku.

Ostapie należało przedtem do klucza Grzymałowskiego wielkiej fortuny księżnej marszałkowej Lubomirskiej, tak marnie straconej. Po rozbiciu tego ogromnego kolosu, który równał się prawie udzielnemu państwu w rzeszy niemieckiej, nabywali majątki rozmaici ludzie. Piękną wieś wziął adwokat wiedeństki Pötenberg, za pranie bielizny wziął także Wiedeńczyk wieś dużą. Sam Grzymałów z zamkiem starożytnym, dawną tych dóbr rezydencją, kupił Niemiec bankier i dopiero potem dostał się w posagu Antymowi Nikorowiczowi, ojcu dzisiejszej właścicielki Julji hr. Pinińskiej. Z Nikorowiczem łączyła ścisła zażyłość Wybranowskiego, często bywali u siebie.

W roku 1847 odwiedził Ostapie hr. Leon Thun późniejszy minister austrjacki, a wówczas

przy gubernatorze Stadjonie pełniący funkcję wiceprezydenta. Zwiedzając Galicję umyślnie zboczył do Ostapia, ażeby się zapoznać z Wybranowskim.

Nadszedł rok 1848, rok pamiętny z pierwszych swobód konstytucyjnych w Austrji, a dla Polaków pełen nadziei wolności, która tem milszą była, że po nieszczęśliwej rabacji w roku 1846 setki naszych braci z więzień uwolniono. Wszystko co żyło oddawało się nadziei, choć niestety nieuzasadnionej, która rychłym i bolesnym skończyła się zawodem, przynosząc straszne rozczarowanie, tem boleśniejsze, że niespodziewane, nietylko dla nas, ale i dla innych ludów w Europie.

Zaraz po ogłoszeniu w Wiedniu konstytucji, od 19. marca i Galicja zaczęła żyć życiem nowem, zawiązała się rada narodowa i gwardja narodowa. Tej dowódzcą był mianowany jenerał Józef Załuski, a gdy on przeważnie był oficerem sztabowym i z organizacją piechoty obznajomiony nie był, wezwano do Lwowa Wybranowskiego do pomocy jenerałowi Załuskiemu. Na usilne naleganie gubernatora Stadiona i prośby obywateli, przyjął w końcu po długiem wahaniu się drugie dowództwo gwardji. Obaj ci starzy Napoleońscy żołnierze, jenerał i pułkownik, poważną i militarną nadawali postawę gwardji, gdyż i sztab składał się z dawnych wojskowych polskich; później dopiero kiedy podał się do dymisji jenerał Załuski, w jego miejsce został naczelnikiem gwardji Wybranowski jako jenerał major, którą to rangę cesarz mu nadał.

Przejście zaś późniejsze tego dowództwa

i stan ówczesny wiernie maluje odezwa umieszczona w *Dzienniku Narodowym* z dnia 2. października nr. 157 jak i poniżej umieszczony list gubernatora Zaleskiego i pismo Wybranowskiego do redaktora *Dziennika Narodowego* Platona Kosteckiego; dla tego je tu przytaczam

Odezwa do gwardji narodowej. „Powołany z domowego zacisza przez rząd krajowy do naczelnego dowództwa gwardji narodowej jakoby „Instytucji jednej z najważniejszych w rządzie formy konstytucyjnej“ przybyłem do Lwowa i objąłem tę posadę warunkowo i tymczasowie w mniemaniu jednak, że obowiązek mój rozciągać się będzie na cały kraj. Gdy atoli rząd inaczej rozumiał i wszelkiego wpływu do formacji gwardji narodowej po za obrębem miasta Lwowa najmocniej mi wzbraniał, podałem rządowi krajowemu w dniu 5. czerwca przedstawienie, na które, gdy żadna nie następowała odpowiedź, takowe ogłoszone zostało drukiem w dniu 26. czerwca w *Dzienniku Narodowym*. Następnie przedłożyłem ministrowi spraw wewnętrznych pod dniem 2. sierpnia rezygnację z posady ani narodowym, ani moim osobistym wyobrażeniom nieodpowiadającej. jakoż otrzymałem w tych dniach od JW. gubernatora Zaleskiego uwolnienie od obowiązku, które podając tu do wiadomości gwardji narodowej proszę ją przyjąć wyraz podziękowania za dane mi dowody chwalebnego ubiegania się w służbie krajowej, a zarazem i wyrażenia mego żalu, że okoliczności krajowe nie dozwoliły mi przyprowadzić instytucji gwardji narodowej do tego stopnia i stanowiska, jakiego dobro kraju po naczelnym dowódzcy, gdybym takim był istotnie, wymagać miałyby prawo.

Józef Załuski.“

„Jaśnie Wielmożny Hrabio!

W załatwieniu podania dtto. Jasienica dnia 2. sierpnia 1848 r. upoważniony zostałem od ministerstwa spraw wewnętrznych, podług wyraźnego życzenia Jaśnie Wielmożnego Pana uwolnić go od dalszego pełnienia obowiązków naczelnego dowódzcy gwardji narodowej we Lwowie. Gdy pułkownik Wybranowski jeszcze pod dniem 18 kwietnia 1848 r. mianowany był drugim dowódzcą na niego więc przechodzi teraz z kolei naczelne dowództwo tejże gwardji, o czem go zaraz uwiadamiam. Wypełniam przytem miły obowiązek złożenia Jaśnie Wielmożnemu Panu najczulszego podziękowania za jego gotowość i to prawdziwe obywatelskie poświęcenie się, z jakiem ponosiłeś wszelkie trudy i dolegliwości z uorganizowaniem gwardji we Lwowie, jak i ze stanowiskiem naczelnego jej wodza połączone.

Racz przytem Jaśnie Wielmożny Hrabio przyjąć wyraz mego głębokiego uszanowania.

Kraków, dnia 9. września 1848.

Załeski."

„Szanowny Panie Redaktorze!

Miło mi jest zawdzięczyć Szanownemu Panu życzliwą przysługę, gwardji narodowej dotychczas czynioną. Nazywam to życzliwą i ważną przysługą, bo od pierwszych zawiązków gwardji narodowej i w czasie jej przejścia przez trudne koleje, kolumny *Dziennika Narodowego* były jej otwarte, w celu zapoznania publiczności z jej rozwojem, postępami, trudnościami, a co najważniejsze, z duchem jej dążenia i usiłowaniem zachowania bezpieczeństwa, spokoju i porządku.

Dziennik Narodowy nie przestanie i nadal zostawać organem urzędowym gwardii narodowej. Z mej strony miałbym do dołączenia tę prośbę, aby gwardje uformowane na prowincji znajdowały równąż powolność i przyjęcie w piśmie szanownego pana, ilekroćby w swoich potrzebach lub trudnościach dobrodziejstwa jawności druku potrzebowały; tym sposobem znalazłaby publiczność w jednem piśmie objawienie dążeń gwardji narodowej. Proszę przyjąć wyznanie rzetelnego szacunku.

Lwów, 28. września 1848.

Wybranowski."

Kiedy jenerał Załuski znużony trudnościami, jakie na stanowisku swojem jako naczelnik gwardji narodowej ciągle spotykał, postanowił ustąpić, Wybranowski uważał za swój obowiązek obywatelski, nie zrażać się przeciwnościami, zwłaszcza, gdy po ustąpieniu starszego wojskowego z naczelnej posady, dowództwo gwardji przejść by musiało w niewłaściwe ręce, coby wielką szkodą dla instytucji gwardji narodowej, a nawet klęską dla kraju stać się mogło. Zważywszy to, Wybranowski pozostał przy dowództwie, pomimo wszelkich przykrości, jakie na tem stanowisku znosić ciągle musiał. Postępowaniem pełnem taktu i niezmordowanej czujności, udało się Wybranowskiemu ująć w karby burzliwe żywioły, z których gwardja narodowa się składała, nadać jej militarną organizację i postawę, a przy tem wyrobić sobie, co było najtrudniej, powagę u rządu z jednej, a zaufanie u współobywateli z drugiej strony. Cała publiczność umiała ocenić jego wysokie przymioty

i zasługi, jakie na tem stanowisku położył, tak, iż gdy rozeszła się pogłoska, że dowództwo gwardji złożyć zamierza, odezwały się w dziennikach, jako też w odezwach wystosowanych przez różne korporacje, głosy, domagające się, ażeby w trudnych tych czasach wytrwał na swojej posadzie. Ulegając więc temu całego prawie kraju chlubnemu wezwaniu. pozostał Wybranowski do końca na czele gwardji narodowej, i siedm miesięcy tej służby przeszło jak sen łudzący, po którego przebudzeniu się tem smutniejsza wydaje się rzeczywistość. I właśnie wówczas, kiedy instytucja gwardji po całym kraju rozszerzać się zaczęła i wszędzie na podstawach militarnych, bo pod umiejętnem kierownictwem, była zorganizowaną, nastąpiła po upadku rewolucji w Wiedniu katastrofa bombardowania Lwowa, naprzód prawie przygotowana.

O tem bombardowaniu złożył Wybranowski raport do ministerstwa spraw wewnętrznych, w którym z całą godnością i odwagą prawdziwą nacechował niegodne postępowawanie wojskowości w owym krwawym dniu, czem zasłużył sobie na prawdziwy szacunek u współobywateli.

Po zbombardowaniu Lwowa i ogłoszeniu stanu oblężenia w całym kraju, gdy gwardja narodowa rozwiązaną została, usunął się Wybranowski do zacisza domowego, lecz nie do Ostapia, bo ta dzierżawa właśnie w tym roku się skończyła lecz do Horodysławic.

W Horodysławicach trzy lata tylko mieszkał, gdyż hr Alfred Potocki, którego to był majątek, pragnąc koledze z kampanji 1812 roku dogodzić, wypuścił mu w tych samych dobrach

podlwowskich Szołomyję, wieś przyjemniejszą i dogodniejszą.

Dom Wybranowskiego dla wszystkich zawsze był otwarty i jednakowo gościnny. Któż w tym domu nie doznał miłego przyjęcia, rady i pomocy w potrzebie? Było to ognisko dla całej rodziny, przy którem wszyscy się gromadzili i łączyli. Zdanie i sąd tego człowieka był dla młodych wskazówką do której się chętnie stosowali, bo chlubą i zaszczytem było każdego, nawet obcego, którego Wybranowski pochwalił, a niemałą karą, jeśli potępił lub upomniał.

W pożyciu tego stadła dziwna panowała harmonja, nie widziałem nigdy między nimi, choć często byłem u nich gościem, najmniejszego nieporozumienia, jedno drugiego nieomal myśli odgadywało. Taki sam łagodny stosunek był rodziców do dzieci, zawsze jednostajny humor, na pozór niby obojętny, nawet surowy, a w gruncie serdeczny, właściwy im tylko obojgu. Zmienności losu, a nawet nieszczęścia wielkie, jakie ich przez śmierć dwóch dorosłych córek spotkały, z których jedna była już wydaną za Edwarda Ujejskiego, znosili z taką dziwną uległością losowi, że ten głęboki żal na pozór zdawał się niknąć, bo krył go mąż przed żoną, a żona przed mężem, ażeby sobie wzajem przynosić ulgę i pociechę. Nie było w tem egzaltacji, tylko pokorne poddanie się woli Opatrzności i szczere, prawdziwe uczucie żalu.

W obejściu o ile Wybranowski był miły, o tyle skromny co do swych zasług wojskowych i obywatelskich; opowiadając wypadki, w których czynną odgrywał rolę, nigdy nie wspomniał o sobie, jak gdyby tam nie był i nic nie

robił, a przecież często głównym był w nich aktorem.

Pamiętam jak w roku 1851, kiedy pierwszy raz cesarz przyjechał do Galicji, kilku nas dobrych znajomych nie mogło namówić Wybranowskiego, ażeby przypiął swoje ordery, dopiero po długiem naleganiu usłuchał i zawiesił przy fraku krzyż idąc do cesarza i na bal, wydany przez obywatelstwo w sali Ossolińskich.

Opowiadał mi nieraz, że mimo swojej bardzo delikatnej kompleksji, oprócz febry w 1812 roku, która rok blisko trwała, nigdy nie chorował i nie był ranny. Dożywszy w takim stanie późnego wieku, zgasł jak lampa, w której oliwy zabrakło. Dnia 22 stycznia 1863 r. mając u siebie jedynego syna i swego sąsiada, majora Antoniego Roszkowskiego, ojca dzisiejszego feldmarszałka-porucznika inżynierji w Przemyślu — przepędziwszy z nimi wesoło wieczór, o zwykłej godzinie położył się, nie skarżac się nawet, ażeby mu cokolwiek dolegało. Nikt więc nie przewidywał, że był to już ostatni jego wieczór na ziemi. Smutne to odkrycie zrobił pierwszy syn, który przyszedłszy rano do pokoju ojca, znalazł starca spokojnie śpiącego snem wiecznym.

Straszna ta chwila dla dziecka i żony wnet się udzieliła całej okolicy, i pogrzeb odbył się przy wielkiem zgromadzeniu nie tylko krewnych, przyjaciół i kolegów broni, ale i wśród licznie zebranego ludu. Ciało złożono w grobie murowanym na cmentarzu parafialnym w Starem Siole.

Był to mąż wielkiej zacności serca i charakteru, wzorowo wypełniający wszystkie obowiązki Polaka, żołnierza, obywatela i ojca rodziny.

Osiadłszy na wsi, zmieniwszy miecz na lemiesz, przestając na małem, gdyż uprawiał ciągle obcą grzędę, skromnością swą, często posunięta do przesady i miłością ojczyzny, przypominał Cyncynatowskie wzory. Cześć jego wzniosłej duszy i prawdziwej zasłudze!

II.

Bezpowrotnie.

Przy końcu połowy bieżącego stulecia część okręgu wadowickiego za Skawą położona, u samej prawie granicy Szląska, zamieszkana była przez domy pańskie, między którymi górował dom w Zatorze hrabiny Wąsowiczowej, damy wielkiej powagi i rozumu, siostrzenicy królewskiej, gdzie razem z synem z pierwszego małżeństwa, z hr. Maurycym Potockim, oboje państwo Wąsowiczowie mieszkali i ton okolicy całej nadawali. Nadto znane były rodziny szlacheckie, jak br. Karola Larysza w Osieku, Karola Jordana w Kozach. Apolinarego Cieńskiego w Polance, dalej domy w Porembie wielkiej, Grojcu, Andrychowie i Inwałdzie, pp. hr. Bobrowskich Ignacego, Adolfa, Romana i Karola. Dalej do nich także zaliczyć jeszcze należy Mikołaja Dąmbskiego w Oświęcimiu, Tomkowiczów w Kobiernicach, Tytusa Dunina w Głębowicach i Teodora Dunina w Gierałtowiczkach.

Wszystko to byli ludzie dobrze się mający, których majątki odznaczały się pięknem na owe

czany gospodarstwem, a dwory, gdzieniegdzie stare zamki i pałace, słynęły okazałością i staropolską gościnnością.

Zator w swym zamku mając wiele cennych pamiątek tak z czasów dawniejszych jak i z wojen Napoleona i z powstania 1831 r., odznaczał się patrjotycznemi uczuciami, bo nie tylko jenerał Wąsowicz, niegdyś adjutant cesarza Napoleona, ale i zięć jego Karol Jordan i hr. Potocki byli dawni wojskowi.

Pamiętam wspaniałe przyjęcie po powrocie z Syberji księcia Romana Sanguszki. Aktowi temu hr. Wąsowiczowa chciała nadać jak najwięcej okazałości i świetności — ażeby nietylko uczcić swojego zięcia, ale oddać hołd temu zasłużonemu męczennikowi dwunastoletniej ciężkiej niewoli.

Oświetlono smolnemi beczkami odległe lasy o mil kilka od dóbr zatorskich i na przeciwnej stronie Wisły ruiny zamków Lipowca i Tenczynka. Cała okolica jaśniała prawie tysiącem świateł, jak w noc Zielonych Świąt, gdy ją oświetlają „Sobótki".

W Porębiej Wielkiej koło Oświęcimia u Ignacego hr. Bobrowskiego po dobrym obiedzie, a jeszcze lepszem starem winie, którego tam zawsze podostatkiem dawano, rozgadał się major Łętowski, żołnierz Kościuszkowski, brat stryjeczny ks. biskupa krakowskiego, starszy jeszcze od niego, o swojej młodości.

Słuchaliśmy go z uwagą — bo mówił z wielkiem przejęciem — wiedział, że ta jego młodość nietylko dla niego miała wartość uroku młodzieńczego, ale i w istocie była lepsza i odmienna od naszej.

— Inaczej się dawniej bawiono — opowiadał — inaczej wyglądały te moje strony ukochane — ta okolica sanocka i jasielska. Pełno w niej było dworów zamożnej szlachty, w których jak przyszły zapusty, wesołości w nich było bez miary, a pomysłów nowych do zabaw nie brakowało nigdy. Kolejno domy najeżdżano, i owe kuligi, o których tradycja tylko pozostała, jakież to były odmienne od waszych dzisiejszych, choć zatrzymaliście starostę, organistę, państwa młodych, a nawet dawne wierszyki. Nie ma już tej ochoty, tej swobody, jaka za moich czasów była, a co więcej brak tej zabawie dawnej wytrwałości, tęgości w młodzieży. My nieraz trzy dni i trzy noce hulaliśmy. Stodoła wyprzątnięta, boisko naprędce podłogą nakryte, choiną w girlandy ubrane, służyło nam jako sala do tańca. O, inna to była ochota, wierzajcie i inna była siła nasza! Panny były zdrowe, rumiane, czerstwe i świeże jak rybki. Nie było blednicy — i Iwonicz ze swymi szkrofułami nie był jeszcze tak jak teraz znany.

Kiedy tak rozgadał się staruszek, wpadł mu w słowo również stary żołnierz, lecz młodszy znacznie od niego, Seweryn Michałowski, brat cioteczny mojej matki, z Pisarzewskiej urodzony, znany w Warszawie za czasów W. księcia jako „piękny ułan" i zaczął wyliczać, o ile jego czasy były lepsze, bo choć może wytrwałości do zabaw mniej było — jak się wyraził pan Łętowski — to za to młodzież garnęła się do wojska i zapału było więcej.

— Nieprawda, i jeszcze raz nieprawda! ofuknął pan major. Ten zapał, jaki był w czasie powstania Kościuszki i przed tem jeszcze po

ogłoszeniu konstytucji 3. maja, trudno opisać, dosyć jak powiem, że na weselu Bogusza jak nas było dwudziestu młodzieży, nie wyłączając nawet i pana młodego, wszyscyśmy się zapisali na liście Wodzickiego. Później znowu wojna Napoleona zapał ten na nowo podniecała — wielu się zaciągało z nas do legjonów we Włoszech i zapał słabnąć począł dopiero gdy niewdzięczność dla nas Polaków wychodziła na wierzch.

Tak słuchając obydwóch tych osiwiałych weteranów, spierających się, którego z nich młodość była lepsza, świetniejsza, uczyliśmy się młodzi tradycji narodowej i z zazdrością spoglądali na te marsowe postacie, dumne ze swej młodości, ze swego dawnego zapału. Przedział nie był wielki, bo zaledwie trzydzieści kilka lat te bohaterskie wspomnienia dzieliło, a przecież różnica tej epoki była wielka i obydwaj mieli rację swoją młodość chwalić.

Ileż to jeszcze takich postaci do niedawna było między nami, dziś już. chyba z młodszych stopni z ostatniej walki o niepodległość naszą z 1831 roku ktoś jeszcze pozostał.

Każda z tych epok miała swój charakter oddzielny, odróżniali się nie mniej jej weterani. I aureola, jaka ich otaczała, budziła cześć powszechną, a opowiadania, ubarwione często poetycznymi epizodami, budziły najwyższą ciekawość. pomimo, że się już nieraz te same przygody i wypadki słyszało, często nawet rzeczy. niepodobnych do prawdy, chętnie słuchało.

Pan major Łętowski, znany był ze swych zajmujących opowiadań. Pan Franciszek Trzecieski powiedział raz do mnie:

— Cóż chcesz, to nasza żyjąca kronika. Ksiądz biskup piórem, a on słowem opowiada.

Byli to ludzie nie wszyscy wyższego wykształcenia — byli i prostaczkowie. Zdarzało się, że żołnierz zaciagnięty, czy z własnej ochoty czy z musu, walczył w długich wojnach i często cierpiał niewolę.

Znałem takiego człowieka, który od roku 1809 do batalji pod Lipskiem służył pod księciem Józefem Poniatowskim i kiedy ten śmierć poniósł, on dostał się do niewoli Był to sługa mojego dziada Paprockiego, z profesji kucharz, Jan Grychowski.

Żył długo, służąc potem po różnych domach, i choć miał rodzinę dobrze się mającą, nie chciał u niej siedzieć i przy końcu życia podróżował piechotą wzdłuż Galicji I taka pielgrzymkę przez lat kilka powtarzał z Krakowskiego na Podole. A że był w wojsku trębaczem — więc ustami wszystkie marsze i pobudki doskonale wytrębywał. Wszyscy go lubili i chętnie słuchali. Obrażał się tylko, gdy mu kazano trąbić pobudkę do odwrotu.

— Tego panowie nie umiem — my rejterady nie znali...

Przychodził do mojego stryja, twierdząc, że musi się meldować panu jenerałowi i dopiero potem kolejno nas braci odwidzał. Siła w starym, mimo późnego wieku, była wielka.

Raz rozgniewawszy się u mnie na klucznicę, porwał ją na plecy i przyniósł do pokoiu. A kiedym go słabego oddał do szpitala Sióstr Miłosierdzia, to uciekł stamtąd przed kleikami, bo on jako żołnierz, takich potraw nie jada i wró-

cił po raz ostatni jeszcze piechotą w strony rodzinne do dzieci.

Ostatnim może legionistą w Galicji był pułkownik Olszewski. Wszyscy go jeszcze prawie pamiętamy. Jeździł jako pielgrzym, to do Komposteli, to do Jeruzalem, bo wszystkie cudowne miejsca odwidzał. Wysoki, bardzo już wiekiem pochylony, a że nogi mu nie dopisywały, używał laski, na której mocno się opierał nie mogąc chodzić. Przy końcu życia najwięcej przebywał w Medyce u państwa Pawlikowskich i tam podobno umarł.

Służba jego wojskowa rozpoczęła się w Egipcie pod ks. Sułkowskim — lecz jak mi pułkownik Piotr Krasiński mówił, niewyraźna ta lista jego służby i ta ranga pułkownika. Niewątpliwie jednak był z Sułkowskim w Egipcie.

Gniewał się, nie lubił opowiadać o swojej młodości. I to może te różne wątpliwości wyradzało. Kiedy bowiem jego koledzy chętnie i miło swoje czasy dawne opowiadali — on, niechętnie i krótko tylko na zapytania odpowiadał. Mówiac, w środku opowiadania powtarzał często: „O Jezu, Jezu!"

Będąc u hr. Cabogi w Biłce pod Lwowem, zobaczył na gazonie pasące się dwie krowy i powróciwszy do salonu zapytał się:

— Czy to grafiny te dwie krowy?

— A moje.

— O, Jezu, Jezu! na jakich to już biedaków Potoccy zeszli, kiedy grafina ma tylko dwie krowy.

Był znany ze swej rubaszności — więc mu na ten karb wiele pozwalano i dlatego dama takiej wielkiej powagi i znaczenia, jak była hr.

Cabogowa, tem się nie uraziła i sama ten jego żart, nieco za rubaszny, opowiadała.

Z żalem się żegna te typy ginące starych żołnierzy, niezrównanych swego czasu oryginałów. Każdy szczegół z ich życia, pełnego chwały, staje się narodową pamiątką, zatem chętnie go się zapisuje.

Jak Francja po rewolucji, od cesarza zacząwszy, wydała wielkich ludzi tak Polska po swym upadku zajaśniała również dzielnymi i znakomitymi wojownikami którzy, walcząc razem z wielką armią Napoleona I. przelewali krew na polach sławnych jego bitew, w nadziei odzyskania bytu swej ojczyzny.

III.

Szlichtada niefortunna.

Czytając niedawno opis ślizgawki w naszej stolicy — czegoś mimowolnie uśmiechnąłem się — co zwróciło uwagę mego kuzyna, stojącego przy mnie i zapytał, czego się uśmiecham.

— Ot, przypomina mi to — powiedziałem — dawniejsze zabawy, o jakich nieraz w młodości słyszałem, a które miały inny humor swobodę i wesołość.

O takich zabawach,—jak dzisiaj na łyżwach— opowiadał mi pan major Korczakowski, stary żołnierz z pod w. księcia Konstantego.

Gdzie stał garnizon wojska polskiego, a jeszcze i jenerał nim dowodzący był człowiekiem towarzyskim, to zabawy nietylko w samem mieście, gdzieśmy stali, ale w okolicy szeroko słynęły, urządzały się bale, szlichtady jak przyszły zapusty, w których często i obywatelstwo ze wsi brało udział.

Nasze Augustowskie, gdzie stała brygada jen. Czyża, słynęło z tych zabaw szeroko, bo pan jenerał mając córkę, prowadził dom otwarty.

Młodzież, jak powiedziałem, była wesoła, ochocza i tęga do tańca i wszystkich przyzwoitych zabaw, panny były piękne i skromnie wychowane, tualety niewykwintne, roiło się od piękności kobiecych, o których dziś szumne pochwały dzienniki by drukowały.

A patrząc na te małe pokoiki, trudno wierzyć, że się w nich tak doskonale bale i pikniki udawały, stroiły się one nietylko pięknemi makatami, nierzadko kosztownemi, ale i choiną; muzyka wojskowa cięła chwacko mazura i inne tańce.

Szlichtady, panowie, to się tak urządzały, że kilkadziesiąt sań, powożonych przez samych właścicieli, zajeżdżało przed dom umówiony i tam ciągniono dopiero losy, jaka miała jechać dama z młodym mężczyzną. Naturalnie, że tu nie obeszło się bez różnych figlów, ażeby losy dobrze wypadły, co nieraz wpływało i na późniejsze projekta zawieranych małżeństw.

Córka jenerała Czyża, panna Józefa, była śliczną panienką, istny pierwiosnek majowy — młodziutka, wesoła — a oczka jej kiedy spojrzała, na wskróś przeszywały.

Nic więc dziwnego, że wiele miała adoratorów i w końcu wcześnie była zamężna.

Jenerał był bardzo ostry, wielkiej subordynacji wymagający — baliśmy się go jak drugiego w. księcia — mnie dosyć lubił i jako młody porucznik byłem używany do częstych posyłek do Warszawy.

W czasie zapust po zaręczynach panny Józefy z p. M., wyższym oficerem sztabu — człowiekiem bogatym, którego jenerał życzył sobie, a panna mu także sprzyjała—osmutniałem do

niepoznania, chodziłem jak struty, służba mi nie szła jak pierwej — czekałem sposobności, ażeby albo do innego pułku się przenieść, albo pod ziemię się schować. I kiedy tak nie mogę sobie dać rady z tem mojem, mnie samemu tylko wiadomem uczuciem — odbieram rozkaz, ażebym jechał z raportem do w. księcia.

Wiadomość ta ucieszyła mnie wielce, bo czułem, że się zdradzę z uczuciem, jeśli zostanę na miejscu.

Na wyjazd panie dały mi różne komisa, a panna Józefa grzebień szyldkretowy do naprawy.

Trudne komunikacje, poczty drogie, utrudniały w większych miastach robienie sprawunków, panie więc zwykle korzystały, jeśli się nadarzała sposobność, by pełno dać zaraz sprawunków.

Moje polecenia do Warszawy miałem czas załatwić, bo w parę dni po przyjeździe odebrałem rozkaz, że mam czekać na rekrutów, co w mojem wyjątkowem położeniu, gdzie z nieszczęśliwem uczuciem kryć się musiałem, było nader na rękę.

A że ten powrót znacznie się opóźniał, pilniejsze sprawunki odesłałem i przed samym św. Józefem posłałem bilet z grzebieniem naprawionym.

Powrotu, choć się bałem, przecież go niecierpliwie oczekiwałem. Dla tego, skoro rekrutów odebrałem, ruszyłem z Warszawy i przed samą przewodnią niedzielą stanąłem w domu, a ślub miał się odbyć nazajutrz.

Kto zna hierarchją w wojsku,— szczególnie jak było w naszem wojsku za w. księcia, wie, co

za przedział jest wielki między porucznikiem a jenerałem.

JE. Czyż nie tylko był ostry dla oficerów i żołnierzy, ale z natury był popędliwy, nikt nie chciał na tę jego porywczość narażać się. Dla tego, kiedy powróciłem, bojaźń mnie ogarnęła wielka, bo zastałem bardzo go poirytowanego, panie pomartwione, popłakane, goście i rodzina zaproszona na ślub przyjechała, a pana młodego nie ma i nie wiedzą, co się z nim stało.

Można sobie wyobrazić i moje zdziwienie, kiedy taką historję usłyszałem.

Na św. Józef w dzień imienia narzeczonej p. M. urządził wielką szlichtadę, a że dzień był piękny i pomimo, że w tym czasie sanna już nie jest fenomenalną, w tym roku była doskonała.

Pierwsze sanie zaszły pana jenerała, a drugie, powożone przez samego p. M. czterma dzielnymi rumakami, były przygotowane dla panny Józefy. — I kiedy p. M. zaprasza swoją narzeczoną, by usiadła, ona ze skromnością właściwą młodej panience odpowiedziała: — „Dziękuję, pojadę z rodzicami".

Ta odpowiedź była już dostateczna, że p. M. wyprzedziwszy sanki pana jenerała i zostawiwszy całą szlichtadę, nie biorąc w niej już udziału, odjechał i nie dał potem wiadomości o sobie.

Pan jenerał obrażony w swej dumie — i niepohamowany w swej pasji, rzucał się na wszystkich i skoro się dowiedział o moim powrocie, przywołał zaraz do siebie.

Szedłem jak na stracenie, bo wiedziałem, że przy jego prędkości łatwo może być

z czego niezadowolniony i może przyjść do nieprzyjemności.

Kiedym wszedł do pokoju, zmierzył mnie swoim przenikliwym wzrokiem i zaczął mnie badać o Warszawę, o porobione sprawunki, poczem poszedł ku drzwiom i zamknął je na klucz.

— Mój Kroczakowski, wiesz, co u nas zaszło.. Wiem, że jesteś człowiekiem honorowym i że mi pod tem zaklęciem szczerą prawdę powiesz — zatem się pytam, jako oficera, czy kochasz moją córkę?

Ciemno mi się zrobiło w oczach, nogi podemną zadrżały, bo wiedziałem, że w jakąś kabałę jestem wplątany, a powiem państwu — bilet mój miał w wianuszku dwa gołąbki dziubkami zwrócone do siebie, trzymające list — ten więc bilet — ta niewinna alegorja, jaka była powszechnie wówczas na biletach używana, przyszła mi na myśl, czy ona przypadkiem nie jest sprawcą tego wszystkiego.

Krótko więc namyślając się, i nie mogąc zaprzeć się uczucia po takiem wezwaniu, bo choć ukradkiem, to czasem czule spoglądałem na Józię i ona może mile te spojrzenia przyjmowała — bo któraż panienka nie lubi, jak chłopiec na nią spogląda, przecież to ją bałamucić nie mogło i ja z płochości tego nie robiłem... Więc?

— Tak jest, kocham panie jenerale — odpowiedziałem.

— Uczucie to jak jest dawno? czy mogę ja na nie liczyć, a ty czy możesz się spodziewać wzajemności mej córki?

Znowu trudna odpowiedź — jednak zataić

prawdę i milczeć niepodobna, więc wyraziłem z całą otwartością, że odkąd poznałem pannę Józefę — odtąd swobodę straciłem — bo nie mogąc mieć żadnej nadziei, unikałem nawet jej towarzystwa — i jeżelim więc tu co zawinił panie jenerale, nie pochodzi to z lekkomyślnego jakiegokolwiek postępowania i dla tego właśnie na zapytanie, czy mogę liczyć na wzajemność panny Józefy, nie mogę odpowiedzieć, bo skąd miałbym do tego prawo, nie okazując ze swej strony nic, coby jej moje uczucia zdradzało.

— Dosyć tego — wszystko jest do ślubu przygotowane, znam moje dziecko — a nas obojga dawno masz dla siebie dobrze usposobionych.

Otworzył drzwi i wprowadził mnie do pokoju, gdzie była żona i córka i wiele osób przybyłych, a przedstawiwszy mnie jako pana młodego — odkrył tajemnicę, że od wczoraj indult jest przygotowany i ksiądz czeka.

Despotyczny charakter jenerała i dawne wychowanie niewiast zrozumialszą uczyni moją niespodziewaną rolę pana młodego i biednej mojej Józi, która zalana łzami uciekła z pokoju, a ja całując ręce matki i ojca nie wiedziałem, czy to jest sen, czy jawa — czy się cieszyć tak niespodziewanem szczęściem — czy czuć się obrażonym bolesnym żartem.

Idąc do pana jenerała, byłem w całej swej gali, więc i do ślubu niepotrzebna już była poprawka, stałem odurzony i czekałem, co się ze mną dalej stanie, a kiedy po dosyć długiej przerwie Józię zapłakaną do pokoju wprowadzono, na jej widok, na pewność, że ona będzie moją żoną i mnie łzy w oczach stanęły i nie wiedziałem, co mam do niej powiedzieć, całowa-

łem tylko jej rączki i ściskałem ją. Józia czy przypomniawszy sobie dawne moje spojrzenia strzeliste, czy zwykłą przenikliwością kobiecą odgadując moje dla niej uczucie, czy może zapewniona o niem gołąbkami, łzy osuszyła i śmiało stanęła obok mnie do ołtarza.

Na tem skończył swoje opowiadanie pan major, a zobaczywsy wchodzącą żonę do pokoju, odezwał się do niej:

— W samą porę przyszłaś do nas. o tobie tu mówiłem, niech sami popatrzą teraz na twoje cudne czarne oczka, czy widzieli takie, niech mi powiedzą!

Przyznaliśmy chórem, choć były to już oczka blasku i uroku tego pozbawione, pod jakim jeszcze zostawał pan major.

Historja była prawdziwa, bo słyszałem ją potem potwierdzoną od kolegów pana Korczakowskiego — był to oficer lubiany i jako artylerzysta miał być znakomitych zdolności.

Dobrą także słyszałem anegdotę o podobnych sprawunkach, jakie miał dane pan major do Warszawy.

Pan hrabia Kryspin Żeliński, mieszkający w Krakowieckiem, często jeździł do Wiednia. Otóż za każdym razem pełno odbierał od sąsiadek komisów, z których nietylko, że nie zawsze panie były zadowolone, ale i kosztu włożonego nie powracały, bo rachunki gdzieś ginęły lub szły w zapomnienie.

Kiedy to się często powtarzało, raz jadąc pan Żeliński do Wiednia, znudzony już temi ciągłemi ampletami sąsiadek, mając znowu liczną konotatkę, dowcipnie się z niej wywiązał, bo po-

robił tylko te sprawunki, na które miał dane pieniądze.

Niecierpliwe sąsiadki zaraz po powrocie zjechały się do Krzywaczki, ażeby odbierać swoje sprawunki, cóż było za zdziwienie, kiedy pan Ż udając zakłopotanie wypadkiem, jaki go spotkał w Wiedniu, tak im go opowiadał:

— Wyobraźcie sobie panie co za fatalne zdarzenie mnie spotkało, poukładałem na oknie wszystkie konotatki i na każdej pokładłem pieniądze, tymczasem wiatr, kiedy okno było otwarte, zdmuchnął je, zostawiwszy te tylko, co były pieniędzmi przyciśnięte.

Ma się rozumieć moneta kruszcowa służyła tu za ciężarek, więc domyśliły się panie złośliwego dowcipu i więcej pana Ż. poleceniami, szczególnie bez pieniędzy, nie nudziły.

Pan Żeliński zostawszy hrabią i mieszkając w Galicji, choć miał majątki w Rzeczypospolitej krakowskiej, był stronnikiem nowego rządu, lecz mimo tego nieraz śmiało dowcipem ostrym go smagał. Bali się go więc urzędnicy, bo charakter despotyczny, nie zawsze karku uginał i częściej stawał hardo.

Po zaprowadzeniu akcyzy w gorzelniach, mając u siebie na obiedzie pana starostę i kilku sąsiadów, zobaczywszy jednego z nich w stroju polskim, jak sam się nosił, odezwał się do niego głośno, ażeby wszyscy słyszeli:

— Widzę mój sąsiedzie, że Niemcy mniej cię obcieli niż mnie, skoro masz jeszcze taką długą kapotę, — a pokazując na swoją — mnie ledwie na taką krótką zostało. Nazwałem ją też

Ferdynandowską, bo cesarz Ferdynand poły mi obciął.

Dowcip ten podobał się i znalazł potem wielu naśladowców w kraju, noszących kurtki z grubego sukna, zwane Ferdynandówki.

IV.

O intratach w przeszłym wieku.

Jak każda nauka, nim doszła do pewnego wykształcenia, przechodziła różne stopnie, tak też i nasze gospodarstwo rolne ma swoją historję, która świadczy o jego postępie aż do naszych czasów.

Najmniej może materjałów do swej historji ma nasze gospodarstwo, zatem i każdy szczegół z jego przeszłości, choćby i mniej ważny, ma pewne znaczenie, i zasługuje, ażeby go poznać.

Powodowany więc tą myślą, postanowiłem korzystać z materjałów, jakie mam pod ręką i skreślić tu niektóre dane z intrat dawniejszych, a raczej przedstawić układ dochodów z majątków w zachodniej Galicji w początkach przeszłego stulecia.

Kossowa — (jak akta świadczą) była od r. 1426 do r. 1666 w półtrzecia wiekowem posiadaniu rodziny Porembskich her. Nabram z Żegociny Poremby.

Od nich dopiero przez kądziel przechodzi do innych rodzin — ale już nie sama tylko razem z Chrząstowicami i częścią Tłuczani. bo taką całość sformowali panowie Porembscy działem między braćmi w r. 1597, która aż po dzisiejsze czasy istnieje.

Naprzód posiadali ten piękny familijny majątek Zakrzewscy, a potem Stanisław z Wojsławic Cikowski sprzedał w r 1701 bratu ciotecznemu, również urodzonemu z Porembskiej, siostry Zygmunta Porembskiego ostatniego właściciela tego majątku — Andrzejowi z Zydowa Żydowskiemu, chorążemu i sędziemu grodzkiemu krakowskiemu.

Po śmierci zaś jego syna Antoniego Żydowskiego w r. 1728 w dziale między trzema jego córkami dostała się Kossowa z Chrząstowicami najstarszej córce Annie 1° Tęgoborskiej, 2° Nowosielskiej, kasztelanowej Ciechanowskiej, która bezdzietnie w r. 1772 umierając zapisała siostrze Magdalenie 1° Moszczeńskiej, 2° Wilkońskiej, 3° Paprockiej, żonie Stanisława Paprockiego, chorążego Podlaskiego.

Po matce w r. 1781 odziedziczył syn Józef Paprocki, a po jego znów śmierci w r. 1819 przeszła w posiadanie jedynaczki córki Anieli, za pierwszym mężem Łopuszańskiej, za drugim Wybranowskiej, która za życia jeszcze swojego odstąpiła tę wiekową ojcowiznę synowi Janowi Łopuszańskiemu, lecz ten przy niej nie mogąc się utrzymać, po kilku latach sprzedał ją w r. 1844 Mikołajowi z Lubrańca Dąmbskiemu.

A tak tym porządkiem tu podanym, przechodząc te wioski, były w jednej rodzinie przez kilka wieków i przez to zachowały się w archiwum

Kossowskiem te szczegóły, jakie ja tu o gospodarstwie dawniejszem podaję.

Majątek, który daje mi sposobność napisania tych kilku słów, leży nad Wisłą i ma grunta po części rędzinne, a po części pagórkowate z urodzajną glinką. Lecz jakie tam dziś prowadzi sie gospodarstwo, a nawet jakie było za czasów mojej młodości, nie wchodzi to w zakres naszego opisu; chciałbym tylko z zachowanych materjałów udzielić niektórych szczegółów, ażeby tem lepiej dać poznać, jakie dawniej majątki dawały dochody, jaki był ich układ i jakie miały źródła. Skopiowałem więc wiernie rejestr z lat trzech, od r. 1745 do 1747 i ten tu załączam.

„Sumarjusz intrat trzechletnich dóbr wsi Kosowej i Chrząstowic ab anno 1745 ad annum 1747, rok po roku wypisany“.

Intrata Kossowej i Chrząstowej pro Anno 1745.

	korce	faski	miary		złote	grosze
Żyto ozime z wymłotu.						
Z wymłotów na folwarkach obydwóch .	1¯2	2	„	atl.		
odjemnego . .	39	2	„	2		
Dystrybuta żyta.						
Wysiano na folwarkach obydwóch . .	127	„	„			
na ordynacje wydano	22	„	„			
na intratę . .	23	2	„		9.18	227
Pszenica ozima z wymłotu.						
Z wymłotu na folwarkach obudwóch	176	2	2			
odjemnej . .	14	1	1			
Dystrybuta pszenicy.						

Wysiano na folwarkach obudwóch .	58	2	3				
na ordynarje wydano	4	„	„				
na intratę zostaje .	114	„	afl		12	1368	
odjemnej na intratę	14	1	1		6	86	
Jęczmień z wymłotu.							
Z wymłotów na folwarkach obudwóch.	233	„	1				
odjemnego . .	32	„	„				
Dystrybuta jeczmienia.							
Wysiano na folwarkach obudwóch . .	52	„	3				
podstarościemu i gospodarzom ordynarja	16	„	„				
na intratę zostaje .	165	„	„	„	8	1320	
odjemnego potrąciwszy za 2 na drób .	30	„	„	„	4	120	
Groch z wymłotów folwarków obudwóch	24						
Dystrybuta grochu.							
Wysiano na folwarkach obudwóch . .	9	„	„				
na ordynarje wydano	3	1	„				
na intratę zostaje .	21	2		„	9, 9·18	208	
Prosa z wymłotu .	14	„	„	„	10	140	
orkiszu z wymłotu .	8	2	„	„	8	56	
Owies kanar. z wymł.	606	„	3				
na ordynarje wydano	15						
na intratę zostaje .	353	„	„	„	4	1412	
Intrata pieniężna:							
Z browaru arędy roczn.		„	„			400	
z tejże za łop kamieni						24	
z czynszu z danin od tejże gromady . .						508	6

spaśnego od tejże grom.	„ „ „ „ „ „	129	
oprawy od tejże gromad.	„ „ „ „ „ „	53	
jaj kurzych kup 10 a po 20 . .	„ „ „ „ „ „	6	20
za soli suchedniowej beczek 23 a fl. 36	„ „ „ „ „ „	828	
za siano brogów 4 a fl. 80	„ „ „ „ „ „	320	
z prowentu obornego Kossowskiego .	„ „ „ „ „ „	435	
z prowentu obornego Chrząstowskiego .	„ „ „ „ „ „	464	27
	Summa percepty	8105	29

Ekspens przy tych dobrach będący.

Prowizji od wyderkaffu	175	
zapłata czeladzi, omasta i salarium . .	234	12
Summa percepty	409	12
Zostaje na intratę	7696	17

Tym więc sposobem prowadzonego rejestru przez dwa lata już nie chcę tu powtarzać, ażebym nie przedłużał opisu. Nadmieniam jednak ważniejsze rubryki, aby dać poznać jaki był plon w ziarnie i jakie ceny. I tak: w roku 1746 zebrano żyta 280 korcy, a posiano 138 korcy, w roku 1747 z tego posiewu zebrano żyta 545 korcy. Z pszenicą zaś rzecz się miała tak, że w roku 1746 zebrano 181 korcy, posiano 48 korcy, znowu z czego w roku 1747 zebrano 192 korcy. Jęczmienia w roku 1746 zebrano 103 korcy, wysiano w roku następnym 54 korcy i z tego plon był 193 korcy. Tak samo owsa w roku 1746 zebrano 442 korcy i z tego w roku następnym wysiano 252 korcy,

które wydały 549 korcy. Cena zaś w tych latach była: w roku 1746 żyto 6 zł., pszenica 8 zł. 12 gr., jęczmień 5 zł. 12 gr., owies 3 zł. W roku 1747 żyto 3 zł. 18 gr., pszenica 6 zł., jęczmień 4 zł., owies 2 zł. Dochód więc ogólny wynosił w 1746 roku 4816 zł., a w 1747 roku 5896 zł. 5 gr. Ekspens zaś był ten sam, co w pierwszym roku wyrażony. Intrata z żyjącego inwentarza stanowiła jedną z główniejszych rubryk dochodu, był to układ z panem podstarościm robiony, który tu także dołączam dla lepszego poznania tego dochodu z roku 1746.

„Postanowienie zapłaty z prowentu obornego *pro anno* 1746“: krów ile się znajdować będzie według wyż wyrażonego inwentarza; od tych powinien płacić od każdej z osobna po tyfów górskiej monety 12 jedna na drugą nie ekscypując ani jałowych, ani pierwiastek. Do tych zaś powinien przechować połowę cieląt do inwentarza pańskiego, a resztę na intratę swoją obrócić, siła tylko krów do liczby znajdować się będzie. Na które to cielęta dla konserwacji wydawać powinien karbowy siana i szczypek, owies zaś na obrok za wiadomością pańską. Jeżeliby zaś którego cielęcia przy ekspiracji kontraktu nie dostawało do inwentarza z przychowkoych, zapłacić powinien za każde cielę po Tymfów sześć górskiej monety, lub insze cielęta na to miejsce odkupić. A ponieważ żadnej oddawki od pomienionych krów nie naznacza się, więc co się brać będzie na kuchnię pańską lub na inne potrzeby, tak się ma przyjmować: faska masła jedna dziesięć zł., kopa sera ośm zł., garniec śmietany dwanaście gr., garniec mleka słodkiego cztery gr.,

od gęsi trzydzieści wraz z pierzem zapłacić ma Tymf górskiej monety 30, od kur 30 zapłacić powinien Tymfów 30, a coby zaś gadziny*) na kuchnię pańską wzięto — tak ma się przyjmować: gęś 10 gr., jajo gęsie 1 gr., kapłon 12 gr., kura prosta 6 gr., kurczę 3 gr., jaj kurzych kopa 20 gr. Na konserwację tej gadziny wydawać ma karbowy po miarce pośladu zboża wszelkiego od każdej kopy. Krów na oborze pańskiej pozwala się trzymać p. podstarościemu cztery, jałowiąt dwoje, na lato zaś krów sześć, konia jednego, wieprze dwa. Zapłata zaś czeladzi należy z prowentu obornego, którą wypłacić ma p. podstarości, połowę na św. Jan, a drugą połowę przy ekspiracji roku, która przy kalkulacji w prowencie przyjętą będzie. Pod nabiał do wywozu do pobliższych miasteczek najdalej o mil trzy, jednak bez przeszkody robocizny pilnej, a osobliwie w żniwa, naznacza się p. podstarościemu podwód trzy. Dozór wszystkiego, a osobliwie obory w jak najlepszej pilności i dozorze mieć powinien, przestrzegając szkody, aby się nie stała i stróżów upominając; gdyż on za to wraz ze stróżami odpowiedziećby musiał. Utrzymanie zaś takiego p. podstarościego jak i całej czeladzi wynosiło jak następuje: Salarjum na rok cały 80 zł., żyta przedniego miary wadowskiej 10 kor., żyta odjemnego na chleb wraz z czeladzią 12 kor., pszenicy przedniej 2 kor., jęczmienia przedniego 8 kor., wieprza chudca z pańskiej trzody, owsa na ukarmienie tegoż 4 kor., grochu 1 kor., faska jedna siemienia na olej, faski dwie owsa na żur i na konia 8 kor.,

*) Nazwa ogólna drobiu.

krowa na omastę wraz z czeladzią jedna, piwa 4 beczek, marchwi zagonów 2, kapusty 3, rzepy 4; myta pasterce naznacza się ze wszystkiem 19 zł., myta dziewce piekarnianej 10 zł., soli z obrą zamawia się 12 miar; pod len, konopie siać swojem siemieniem, naznacza się przy pańskiem zagonów nawożnych cztery."

Dochód ten podobny jest do naszego wypuszczania krów wydojnikom, z tą tylko różnicą, że zamiast p. podstarościego, który, jak widzimy, miał wyłącznie tę rubrykę sobie oddaną, dziś jest żydek, ciągnący z tego zyski dla siebie.

Przy zestawieniu wydatków ziarna z dwóch lat okazuje sie, że w r. 1746 nie miał dobrego urodzaju, a rok następny już był o wiele lepszym, skoro w r. 1745 wysiano żyta 127 kor., a zebrano 280 kor., pszenicy wysiano 58 kor., zebrano 151 kor.; w r. 1746 wysiano żyta 138 kor., a zebrano 545 kor., pszenicy wysiano 48 kor. zebrano 192 kor. Dla lepszego ocenienia tych rezultatów siejby i plonu winien jestem dodać, że obiedwie te wioski w owe czasy mniej miały niż 400 morgów ornego pola i oszacowane były w r. 1728 przy dziale majątkowym na 75.000 zł., jak również dla tej samej schedy oszacowano Benczyn i Paszkówkę na 70.000 zł., a Kopytówkę na 10.000 zł.

W inwentarzu najwięcej krów chowano. Kiedy w owym czasie w Chrząstowicach były, jak rejestr się wyraża, 2 woły robotne, a 6 cieluchów robotnych, trzymano krów 25, stadników 2, jałownika 15 sztuk, to w Kossowej nie znajduję wołów tylko 20 krów i 8 sztuk jałownika. Ludność Kossowej i Chrząstowic w tych trzech latach była następująca: w Kossowej zagrodników

7, pięć dni w tygodniu robiących; chałupników 2, dwa dni w tygodniu robiących; komorników 2, jeden dzień w tygodniu robiących; w Chrząstowicach kmieci 3, po 5 i 4 dni robocze w tygodniu; powabnych dni 4 do roku, ci wołów inwentarskich mieli po 4; zagrodników pięciudniowych było 9; trzechdniowych 9; komorników jednodniowych 9; ci wszyscy robili powaby 2 dni w roku W Tłuczani kmieci odrabiających do Kossowej było 7, mieli po parze wołów inwentarskich i odrabiali 5, 4, 3, 2 dni w tygodniu, a oprócz tego powabnych dni 4 w roku. Oprócz tego miały obiedwie gromady powinności następujące:

Powinności in anno 1746.

1. Spaśne, którzykolwiek pasą na gruntach Kossowskich, jako i Chrząstowskich, płacić powinni od każdej krowy z osobna po jednemu złotemu; od jałowizny od każdej z osobna po 15 groszy, którego to bydła popis powinien być zaraz na wiosnę, a powtóre rewizja po św. Janie.

2. Dwa dni powabne podczas żniwa, po dwa razy odbywać powinni, jedno do jarego żniwa, a drugi raz do ozimego, kmiecie po dwoje, piechota po jednemu.

3 Straż dniowa tak Kossowianie, jako Chrząstowscy, tu na Kossowej w kolei wzzyscy odbywać powinni; nocną zaś tu w Kossowej po dwóch, przy bytności pańskiej po trzech odbywać powinni.

4. Do paszenia trzody z kolei wszyscy iść powinni, a jeżeliby trzody nie było, to dni u innej robocizny odbywać mają.

5 Czynsze i inne daniny według dawnego

zwyczaju na św. Marcin wypłacać wszyscy powinni.

6. Chmiel wszystka gromada tak Kossowska, jak i Chrząstowska według urodzaju onego zbierać i do dworu oddawać ma.

7 Leśni obadwa li lasu doglądać powinni, przestrzegając wszelkiej szkody, do dozoru robocizny kiedy tego będzie potrzeba iść powinni, a osobliwie w lecie i grzybów po miarek dwie oddać.

8 Podróże wszelkie tak bydłem, jako i pieszo odbywać powinni w kolej według zwyczaju dawnego, nie przestępując jeden drugiego.

9 Kapłony, którzykolwiek dają, jeżeliby ich nie potrzebowano na kuchnię pańską, zapłacić powinni za każdego kapłona po 18 groszy.

10. Komornice, którekolwiek znajdować się będą, to każda z nich dzień w tydzień tak w lecie, jak i w zimie, odrabiać powaby powinna.

11. Dni powinne tak kmiecie, jak i zagrodnicy zaraz z niedzieli odrabiać powinni, nie odkładając ku drugiej niedzieli, aby robocizna szła dobrym porządkiem.

12 Zboże na targ do Kęt lub do innych miast, wywozić za dzień pański powinni kmiecie Chrząstowscy, zboża twardego po dziesięć korcy teraźniejszej nowej miary; owsa po 15 korcy. Kmiecie zaś Tłuczańscy, ponieważ tylko parę wołów mają, przez połowę od Chrząstowickich brać powinni.

13. Sól suchodniową z Wieliczki za dzień pański wywieść kmiecie wszyscy powinni i oraz ku granicy szląskiej zawieść; kmiecie Chrząstowscy po 3 beczki. Tłuczańscy po 2 beczek swoją mocą brać powinni.

14. Przyręble na stawach w Kossowej, bez dnia pańskiego wszystka gromada wycinać powinna punktualnie, czego p. administrator doglądać ma i karbowy pilnie, aby szkody w rybach nie było.

15. Czynszownicy zaś, którzy czynszują, kiedy tego będzie potrzeba, czy do kośby, czy do młocki, czy do plewienia i do żniwa po 6 groszy za dzień iść powinni.

16. Oprawę, jako w liniach wyrażona, kmiecie, zagrodnicy po sztuce w 12 łokci prząść powinni; komornicy po pół sztuki, to jest po 6 łokci, a jeśliby się któremu na oprawę prząść nie dostało, tedy od sztuki zapłacić powinien po 1 zł. 8 gr.

Opisawszy powinności gromady, jako należące do dochodów, przytoczę tu znowu inny bardzo ciekawy z tego czasu dokument, kontrakt zawarty o rolę kmiecą w Chrząstowicach, który tu przyłączam, jako świadczący o prawie i postępowaniu ówczesnem dziedzica z włościanami:

„Między Wielmożną Jejmością Panią Anną z Żydowskich Tęgoborską, Sędziną Grodzką oświecimską, Panią dziedziczką dóbr wsi Chrząstowic z jednej, a z drugiej strony z pracowitym Maichrem Zabagłą Obywatelem i poddanym ze wsi Łączan WW. Księży reguły S. Benedykta, Tynieckiego Konwentu, stanął pewny i w niczem nie odmienny kontrakt w niżej opisany sposób: Iż Wielmożna Imci Dziedziczka i posesorka wsi Chrząstowic, maiąc rolę pustą w tychże dobrach Chrząstowicach nazwaną Ciapówką, puszcza ją temuż w zwyż wyrażonemu pracowitemu Maichrowi Zabagle w trzechletnią arendę ze wszystkiemi okolicznościami, co na

*

ten czas do tejże roli należącemi, znajduje się, a to za sumę złotych polskich dwieście czterdzieści, dico 240, z temi jednak kondycjami, aby też wyż wyrażona rolę nawoził i uprawiał według obyczaju gruntów tutejszych, przez wszystkie trzy lata; ponieważ tenże wzwyż pomieniony pracowity Zabagło obliguje się, że teraz będzie swoimi nawozami tęż rolę nawoził, więc na to pozwala mu się słomy do swojej chałupy wywieść z tą jednak kondycją, aby ta rola według siewu i pomiarkowania gruntu do zasiania miała swój nawóz; a że teraz Wielmożna wzwyż wyrażona Diedziczka zaczyna chałupę stawiać na tymże gruncie, którą koniecznie zakończyć potrzeba i będzie zakończona wkrótce, więc że tam wzwyż wyrażony Zabagło w niej mieszkać nie może, chciała W. Imci Dziedziczka, żeby komornika na swojem miejscu osadził, aby też chałupa nie pustoszała i pustkami nie stała; ale wzwyż wymieniony Zabagło onejże nie potrzebuje i bez niej tę rolę przyjmuje i wzwyż wyrażoną summę wypłacić obliguje się, na tej chałupie W. Imci Dziedziczka z ramienia swego osadza na mieszkanie komornika, któremu pomieniony Zabagło deklaruje z tej roli udzielić na warzywo zagonów dwa. Płoty zaś gdziekolwiek ta rola będzie potrzebowała grodzenia, pomieniony pracowity Zabagło grodzić obliguje się, na które W. Imci Dobrodziejka z lasu swego pozwala chrustu, aby tylko bez wiadomości p. Podstarościego nie brano. A *in quantum*, by zaś miał wole, tę wzwyż pomienioną rolę dalej trzymać, lub kogo ze swoich osadzić, za oznajmieniem Wielmożnej Dziedziczce, jaka wola będzie jej, czyli na czynsz dal-

szy, czyli to na robociznę według zwyczaju tamecznego, do której według proporcji inszych ról i pomiarkowania wydzieliłoby się z gruntu pańskiego, aby rola zupełna była; awizować wcześnie powinien, *in quantum* — by zaś Wielmożna Jejmość Dziedziczka miała kmiecia na trzeci rok osadzić dla swego pożytku i robocizny, on w tym bynajmniej przeczyć nie ma. Podatki wszystkie dla gromady płacić według zwyczaju tamecznego zupełnie deklaruje się. To wszystko i każdą rzecz z osobna strony obie święcie dotrzymać obliguią się pod zakładem takowej drugiej sumy. Ten kontrakt zaczyna się dnia 29. września, na dniu św. Michała Archanioła w roku 1742, a kończyć się ma na tenże dzień św. Michała w roku 1745. Tenże wznowiony Zabagło oddał i wyliczył sumę 720 zł. wyrażoną za wszystkie trzy lata, na co się podpisała Anna Tęgoborska.

Z przytoczonych dat jasno się okazuje, że gospodarstwa dawniejsze pomimo, że nauka o agronomji na niskiej stała stopie i nie było dobrych narzędzi do uprawy roli i czyszczenia zboża, dawały nie złe intraty. Pan Stolnik, czy Podstoli; Sędzia, czy Chorąży kochając wioskę, na której żyli jego przodkowie, choć wiódł żywot dostatni, to zawsze wedle stanu swego, nie nadużywając dochodu. Dla tego majątki szły z ojca na syna, lub przez kądziel zmieniały rodzinę i kapitaliki się składały, ażeby spłacać resztę dzieci. Gdybyśmy taką miłością ziemi się kierowali i także poprzestawali na tem, co ona nam niesie, to nasze piękne wioski, przechowujące w sobie nie jednę tradycję dłuższego posiadania, możeby nie przechodziły tak łatwo i często w obce ręce...

V.

Łaska króla obok samowoli.

Wojny ciągle trwające za Jana Kazimierza i potem za Jana III., nie dające narodowi spokoju i rozluźniające wszelkie karby porządku, przytem wolne instytucja rzeczypospolitej wyradzały samowolę nietylko u panów senatorów, ale i u możniejszej szlachty. Wielu takich oryginałów, despotów nie uznających nad sobą prawa i nie dających się niczem poskromić, widzimy w późniejszych czasach naszego upadku; wtedy właśnie, kiedy najwięcej potrzeba było posłuchu i porządku, nie chciano jeszcze zapomnieć o dawniejszej swawoli ojców.

Lecz jak z nieokiełzanej buty, poświęcającej nieraz dla prywaty sprawę publiczną, tak rodziny senatorskie i szlacheckie znane były w Polsce, i ze swej dzielności, męstwa i waleczności szeroko słynęły.

Do takich wsławionych męstwem rodzin, należeli panowie z Kroków Radecz Radeccy, herbu Godziemba.

Pana Mikołaja Radeckiego, chorążego horodelskiego, dzielnego rycerza z pod Chocima i Wiednia, król, Jan III. chcąc odszczególnić za jego waleczność i tem lepiej okazać dawnemu koledze z niejednej okazji swój afekt monarszy, wysyła posła z podarunkami na ślub córki, panny Zofji Radeckiej, idącej za mąż za pana Mikołaja Wybranowskiego, łowczego łukowskiego.

W liście swym do posła, którego nazwisko nie jest wiadome, tak się o swojem życzeniu i o panu młodym wyraża:

„Jan Trzeci z Bożej łaski, król Polski, wks. Litewski, Ruski, Pruski, Mazowiecki, Żmudzki, Kijowski, Wołyński, Podolski, Podlaski, Inflancki, Smol. Siew. i Czernich:

Urodzony uprzejmie nam miły mając sobie uprz. twojej doświadczoną ku nam życzliwość *et in rebus agendis disteritatem* umyśliliśmy poselską na osobę uprzuj: twojej włożyć funkcją pilnie żądając, abyś przy oddaniu upominku pannie Radeckiej, chorążance horodelskiej, imieniem naszem weselnemu aktowi z urodzonym Mikołajem Wybranowskim towarzyszem roty usarskiej najjaśniejszego królewicza Aleksandra syna naszego najmilszego na dzień dwudziesty listopada w Łaszczowie złożenia *laetum* dać zechciał, *plausum* upewniając, oraz o wielkim naszym ku domowi ich w podających się okazjach respekcie. A my te uprze. twojej uczynności *inter grata* policzymy *officia*, dobrego onemu od Pana Boga życząc zdrowia. Dan w Żółkwi dnia XVI. mca. roku pań. MDCLXXXIX. Panowania naszego XVI.

Jan król.“

Taż sama potem pani łowczyni łukowska, obdarzona męstwem swego ojca, który całe — życie spędził w obozach — posiadała i wiele ówczesnej samowoli i jako wdowa mieszkała w Leśniku i w Woli Leśnickiej, w majątku panów Wybranowskich, bo od kilku pokoleń będących w ich ręku, z obszernym dworem, nieco nawet obronnym i z niego to w roku 1718 odbyła pani łowczyni łukowska z synami najazd na grunt księżomiejski, który, jak komisja opisała, tak ja go tu podaję.

„Im. p. komisarz powróciwszy z Lublina do Dzierżkowic zastaje relację, że Ichmość pp. Wybranowscy tegoż dnia z rana *in assistentia* ludzi swoich na grunt księżomiejski, chłopów tamteiszych na nim robiących zegnali y swoim poddanym zaraz orać, siać y zawlekać kazali, przegrażając chłopom księżomiejskim, że nazajutrz z całą gromadą leśnicką przyjść mieli i nietylko grunta i ogrody im odbierać, ale i ich samych w swoich poddanych obrócić. Czemu zabiegając Im. pan komisarz y obowiając się, żeby Ichmm. pp. Wybranowscy *nobis silentibus* nie mieli sobie tej uzurpatiey za possesią, ordynował chłopów księżomiejskich, żeby także orali, siali i zawlekali na tymże gruncie. Uprosił Ichmm. pp. Grabskiego i Trojanowskiego, dworzanów JW. Im. p. znaku podolskiego (Stanisława Kąckiego), żeby tamże wyjechali *et in casum espeditiey* z Leśnika, pytali się, jakim prawem ten grunt uzurpują sobie? Aliście wyjeżdża z lasu naprzód Wna Im. pani Wybranowska w karecie za Ichmością Ichmm. pp. synowie w licznej asystencji kilkudziesiąt koni z szablami, pistoletami i muszkietami.

Zaraz każe zabierać chłopom księżomiejskim bydło, co spostrzegłszy Ichmm. pp. Grabski i Trojanowski, pojechali ku Ichm. p. Wybranowskiemu starszemu chcąc z nim i taką violentią expostulować, ale Im. p. Wybranowski niesłuchając ich propositiey Imci p. Grabskiego wziął za piersi, potem ludzie jego ściągneli go z konia, za łeb włóczyli, jego własną szablą go bili, a naostatek wepchnęli do karety Im. paniej Wybranowskiej, która go odała *sub custodiam* swoim chłopom z Leśnika *turmatim* z cepami, z kijmi do Kiężomierzy bieżącym, a sama te formalia rzekła: Pilnujcie chłopi tego dobrze, a ja jadę po podstarościego księżomierskiego, żeby tego chłopa na gruncie kiejmi zabić Jakoż było pod samym dworem, ale niepuszczono Imość. Imci p. Trojanowski postrzegłszy, co się z Imci p. Grabskim dzieje retyrował się ku wsi Księżomierzy, gdzie Imci p. Wybranowski z assistentią swoja sam z dobyta szablą, drudzy także z szablami gołemi i z pistoletami aż pod sam dwór gonili Im. P. Trojanowskiego, gdzie najbardziej dokazywał niejaki sługa Im. Wybranowskiego na imię P. Malinowski u którego harapnik Im. P. Grabskiego się znalazł. Ludzie zaś Xiężomiejscy *parcendo* pana tego Malinowskiego zagarnęli do domu z niejakimś panem Żołądkowskim y z masztalerzem Im p. Wybranowskiego, który się czyni być woźnym, ale *authentyka* nie ma, zagarnąwszy odesłano ich zaraz do Lublina *ad excipienda confessata.* Im. p. Grabski zaś w Leśniku przez cała noc pod aresztom siedział, nazajutrz do Lublina go zaprowadzono, straż

przydawszy *contra tuentiam status nobilitaris* przez pięć dni *in detentione* trzymano."

Obydwa te dokumenta przytoczyłem w całości, ażeby obok pięknego przykładu elekcyjnego króla, pokazać i ową niecną samowolę, która tak często się powtarzała w te nieszczęśliwe już czasy, na nasz tem pewniejszy upadek...

VI.

Pan podstarości.

Nie wiem, po raz już który powracam znowu do tej mojej ulubionej gawędy o tem, jak dawniej było — bo czem więcej czas zadawnia się latami, tem więcej nikną w pamięci owe obrazki przeszłości, w których nieraz spotyka się nieznane już dziś typowe postacie.

Zmrok ciemny zapadł już na ziemi, tak, że ledwo bliższe przedmioty rozpoznawać można było, a świst wiatru grudniowego nie pozwalał słyszeć turkotu kół jadącej karety po zamarzniętej grudzie, która na całym szlaku szerokiego gościńca wyglądała z pod śniegu, jak poorane pole. Trzask dopiero głośny z bicza zwrócił uwagę jadącego na koniu podróżnego, że ma się ustąpić z drogi, co zobaczywszy pokłonił się i dążył dalej za karetą do karczmy na nocleg, która już na ten sam trzask z bicza poczęła się żarząco oświetlać, a gospodarz z latarką w ręku czekał w progu z ludźmi, pierwej przybyłymi z kuchnią i pościelą pańską, na usługi nadjeżdżającego gościa.

Ledwo kareta ciężka z łoskotem próg wielkiej i ciemnej, jak piwnica, sieni przestąpiła, zaraz stara żydówka znająca prawie całe województwo podolskie przysunęła się do wysiadającego pana i poczęła witać.

— Aj aj witam jasnego mego W. Pana — jak się JW. Pan miewa — dawno u mnie nie był.

Po odpowiedzi i przywitaniu, pan, widocznie zadowolony, że po długiej i męczącej drodze mógł wyprostować swoje nogi, wysiadł z wielkiej landary. W kilka chwil potem nadjechał konny podróżny i zaraz zsiadłszy z konia, pokłonił się nisko panu i gospodarzowi, prosząc go o nocleg dla siebie i szkapy.

Postawa słuszna, brwi krzaczyste, a wąs spadający aż po koniec brody i ubior jego, szara z kapturem burka pasem rzemiennym podpasana, torba przez plecy, a koń choć dobry, ale zmęczony, wszystko to zwracało uwagę pana i zapytał go:

— A wasan z kąd jedzie? i dokąd?

— Za służbą JW. Panie — byłem u książąt Poniatowskich, lecz teraz nowi tych dóbr właściciele mnie nie potrzebują.

— Musiałeś coś zbroić mosanie?

— Nie JW. Panie.

— Jak się nazywasz mosanie?

— Jan Nepomucyn Rzepka do usług JW. Pana.

— Czy nie Rzepecki?

— Nie, JW. Panie — tamci pochodzą z Rzepniowa, a ja tylko pochodzę z Zagona.

— Hm. U mnie jest miejsce, ale mosanie ostry pan jestem — mało kto u mnie utrzymać

się może, bo nim ukradnie, ja jego myśli zgadnę i zaraz z kwitkiem puszczam, a czasem i kozą i skórą zapłacę.

— Dobrze JW. Panie, ja gotów jestem do usług.

— Nie znasz mnie, jak widzę mój bratku — tak prędko byś nie przystał — dowiedz się pierwej kto jestem, by klamka za asanem nie zapadła.

Był to graf Dulski, znany ze swej srogości dla sług i poddanych, mało kto u niego długo wytrzymał we wsi i we dworze. Nie mało go więc zadziwiła ta prędka gotowość nieznajomego człowieka i począł się pytać, na czem opiera swoją pewność, że mu krzywdy zrobić nie może.

— Proszę pokornie na mej wierności i posłuszeństwie woli JW. Pana — odrzekł proszący. Jako człek bezżenny mało potrzebuję, bylem nie był głodny i boso nie chodził. Chudoba moja, to tylko ten koń, kulbaka i koc do przykrycia, a w trzosie na brzuchu jest jeszcze trochę uzbieranego grosza, więc skoro zmiarkuję, że JW. Pan chce mnie wypędzić i uchowaj Boże szkapę moją zabrać, to zaraz siądę na nią i pojadę.

Tak się ta otwartość i pewność pana podstarościego podobała panu Dulskiemu, że go przyjął. I jak później mówił jegomość pan Garwoliński, do śmierci służył u niego.

Zapłata takiego ekonoma, czyli jak dawniej nazywano podstarościego, była nie wielka — brał zasług w r. 1771 tak zwanego wówczas Salarium zeledwie 120 zł. i ordynarji, jeżeli był żonaty 26 korcy, na omastę i sól 12 zł., kapusty 2 zagony, marchwi 2 zagony. Do wypisanej or-

dynarji należy się dać wieprza chudca, lub 8 zł. za niego. Pod len 2 zagony, pod konopie 2 zagony swojem nasieniem zasiać, omiędlić i oprząść.

Do tej mizernej zapłaty niewielkie było wykształcenie. Często się tak zdarzało, że przyszedłszy za obowiązkiem, kiedy mu próbę pisania kazano złożyć, p. ekonom męcząc się na napisaniu kilku wierszy, usłyszał w końcu:

— Ale mosanie tu nic nie ma — pisz no aspan inaczej — i znowu pocąc się, próba źle wypadła, wtenczas biedaczysko skonfundowany odpowiadał:

— Całuję stopy Jaśnie Pana, skoro nic nie ma, to już i nic nie będzie, bo ja lepiej pisać nie umiem.

Lecz nieraz znów ów pan podstarości, jakiego tu wspomniałem, biorący Salarium 120 zł. zaledwo także umiejący może zapisać perceptę, rządził sam dużą fortuną pana starosty, kiedy ten siedział lub radził w Warszawie, lub mieszkał w innym majątku.

A jako człek moralny i uczciwy, choć nie wielkiej nauki, a przy tem najczęściej brat szlachcic z niskiego stanu, nie zawiódł prawie nigdy położonego w nim zaufania.

Gospodarka bowiem była prosta, ziemia niewysilona dobrze jeszcze rodziła bez sztucznych, jak dziś, nawozów, łatwo się więc żęło i zbierało.

Tak samo strona przemysłowa małej nauki od pana podstarościego wymagała. Widzimy to z opisu pędzenia wódki i wyrabiania piwa, jaki także mamy przed sobą z r. 1773. Wszystko to odbywa się w jednym budynku, podług opisania szczupłym, przy skromnym i niewielkim apa-

racie, jaki tu podaje przy wypuszczaniu browaru w trzyletnią arendę w Kossowy.

— „Puszcza się browar z wolnym naczynia pańskiego używaniem y w tymże kurzenia gorzałki, warzenia piwa z zupełnym szynkowaniem tak w browarze jako i po karczmach do tegoż należących czterech Kossowską, Tłuczańską, Chrząstowską we wsi, jako też w Dembinie. A to za sumę umówioną rocznej arędy złotych polskich *dico* fl. 900 y porącznego do tego kontraktu # 2, którą to sumę powinien wypłacać każdą aticypatywie przed zaczęciem kwartału złotem ważnym obrączkowym kurs w kraju mającym.

„Do tego kotraktu deklaruje arendarz oddać łoju kamień jeden y mięsa ćwierci dwie. Wywar dla trzody pańskiej po dzberze jednym; „dalej powiada „specyfikacia naczynia browarnego" — „1 mo garniec nowy z pokrywą y rurami, ważący funtów Nr. 211, funt à fl. 8.

Kocioł do robienia piwa . .	1.
Zacierníe z wiekami . . .	4.
Koryto dębowe	1.
Konwi spuśnych	4.
Konewka do nabijania garnca .	1.
Konew do wybijania wywarów .	1.
Kadź do chłodzenia piwa . .	1.
Koryto pod nią dębowe . .	1.
Tok do spuszczania piwa . .	1.
Koryto pod nim dębowe . .	1.
Kadź pomniejsza do zacierania piwa	1.
Przycier na wodę	1.
Półachtelków . . .	2.
Beczka na missówkę . . .	1.
Lij dębowy drewniany . . .	1.

Naliwka	1.
Kadzi na wsypanie	2.
Sąmsiek wielki o dwóch przegrodach	1.
Kadź do zalewania słodu w suszni .	1.

Są to rekwizyta oddane arendarzowi przy wypuszczaniu browaru, z którymi obchodzić się ma i strzedz je od zepsucia szczególnie, jak powiada ugoda „Ponieważ zaś dla wygody arendarza garniec jest nowo postawiony, starać się tedy ma, aby go nie zdezelował, zwłaszcza kurzeniem gorzałki z ziemniaków, przez które się garniec rujnuje“.

Przy takiej łatwej i taniej produkcji wódki i piwa i cena była niska.

W tym samym kontrakcie zastrzega sobie pan chorąży podlaski, że „na potrzebę dworską, gdy trunek za kwitem pańskim brany będzie garniec gorzałki nową miarą rachować się ma czeskich 12, piwa garniec groszy 4 W paleniu piwa i warzenie gorzałki na dworską potrzebę ekscypuje sobie dwór wszelką wolność“.

Przytoczyłem dla tego szczegóły tej ówczesnej przemysłowej gospodarki, ażeby tem lepiej okazać, jak małe wiadomości panu podstarościemu były potrzebne, kiedy tak łatwo i pojedyńczo wyrabiała się wódka i piwo w jednym budynku i za pomocą jednego prawie aparatu.

Jak jednak to się działo, trudno nam dziś zrozumieć, a przecież tak było, jak to z tego ciekawego opisu widzimy.

VII.

Dawniejsze podróże.

(Wyjątek z pamiętnika).

I.

„Nie tak to illo tempore bywało
Mości Cześniku, mój miły sąsiedzie,
Było dość złota a wydatków mało
Piło się własny miodek przy obiedzie“.
(stara piosenka).

Nic tak dobrze i jasno nie przechowuje się w pamięci jak młodociane wrażenia, nie zmieniają one nigdy krasnych barw ani wśród skwarnego lata, ani w ponure dni naszej jesieni, ani wtenczas nawet, kiedy już zima wystudza nam w piersi gorętsze uczucia i pamięć coraz bardziej blednieje, są one zawsze w każdej porze życia jednakowo miłe.

Dziś jeszcze po sześćdziesięciu latach, jak gdyby wczoraj to było, widzę cały zachód w domu i słyszę te wszystkie projekta przed wyjazdem moich rodziców w daleką i kilka miesięcy mającą trwać podróż.

*

Było to po wczesnych zbiorach, pięknego urodzaju, jakiem Kossowa zwykle mieszkańców swoich darzyła. Po ciepłym i pogodnym lecie w miesiącu wrześniu w r. 1834 wybrali się rodzice na Podole odwiedzić rodzinę.

Nim jednak wyjazd nastąpił, robiły się kilka tygodni przygotowania. Naprzód wyprawa matki i sióstr potrzebowała dłuższego czasu — nareszcie ułożenie trzech furmanek, które w drogę iść miały, dokupienie do nich koni u pana Kwiecińskiego, sprowadzenie powozu z Białej, gdzie były słynne fabryki powozów Bruniaka i Fuchsa, mnożyło wiele zachodu, co malca ośmioletniego cieszyło i zajmowało.

Z żalem jednak, jak sobie przypominam, patrzyłem na wypróżnienie wozowni, dotąd zapełnionej przeróżnemi staremi landarami z czasów jeszcze mego dziada pana chorążego, a może dawniejszych swych dziwnego kształtu „karjolek“ „taradajek“, w których się kryłem nieraz i wesoło bawiłem. Wszystkie te rozmaitej wielkości powozy zabrano do Białej i wymieniano na mały półkryty powozik, nazywający się „koczobrykiem“.

Opisawszy już raz w moich dawniejszych zapiskach z przeszłości tę podróż, nie chcę powtarzać wszystkich szczegółów odwiedzenia rodziny. Są jednak z tej epoki młodego wieku tak miłe wrażenia, żywo jeszcze w pamięci zachowane, że niepodobna mi ich pominąć

W Kropiewniku, położonym w górach w obwodzie samborskim, bawiliśmy dwoma nawrotami, najdłużej i najprzyiemniej. Jadąc do Kropiwnika o milę drogi za Drohobyczem czekały nas już wozy, zaprzężone wołami, ażeby przez góry uła-

twić przeprawę i zrobić bezpieczniejszym przejazd przez liczne kamieniste potoki.

Do nich się więc przesiadłszy i zostawiwszy powozy, aby za nami powoli postępowały, jechaliśmy ogromnymi lasami i malowniczą okolicą, w której wśród wianka gór, na równinie nad samym brzegiem Stryja, ujrzeliśmy ocieniony dużymi drzewami stary dworzec, z obszernymi budynkami i rodzaj baszty na końcu pięknej ulicy topolowej, przez którą wjeżdżało się do niego. Brama ta w formie baszty, miała na piętrze ładny pokój z galeryjką do koła, z której widok na rzekę, wieś i góry był bardzo piękny. Przytem ozdobioną była ogromnymi rogami jeleniemi zapewne z czasów pana podkomorzego Nahujowskiego, krewnego mego wuja, od którego on dostał ten familijny majątek, gdyż rodzina Nahujowskich, jak groby w cerkwi świadczą, wyżej 300 lat go posiadała.

Ojciec mój lubił ten majątek, bo w nim najprzyjemniejsze lata przeżył swego pożycia z pierwszą żoną dzierżawiąc go lat kilkanaście od opieki małoletniego swego ciotecznego brata p. Antoniego Nahujowskiego i dlatego chętnie tam jechał i długo u brata przebywał.

Tak samo stryj mój jenerał kochając się z bratem ciotecznym, po rewolucji 31 roku bawił u niego lat kilka, nim uzyskał przywrócenie obywatelstwa austrjackiego i stały pobyt w Galicji.

Zastaliśmy go tam jeszcze z rodziną, co także przyczyniło się do dłuższego naszego pobytu u tych przyjemnych i gościnnych krewnych, gdzie sama pani, wielkiej zacności i rozumu osoba, była duszą tego domu.

Jeżdżąc wtenczas przez Borysław i Popiele, majątek hr. Romana Karnickiego, nikt nie myślał kiedy go dolatywał odór smolny, smarowanych wozów ropą naftową, że jeździ po ziemi, która takie wielkie skarby kryje, i że owa Schodnica, przez którą się także jechało do Kropiwnika, należąca do pp. Goldenbergów i znana jako lichy majątek, dziś będzie dla swych lasów i nafty za wysoką cenę sprzedana.

Z Kropiwnika wyruszyliśmy w okolicę Stryjska, ażeby odwiedzić resztę rodziny — najpierwej do miłego i pięknego Hołobutowa, majątku pani Dziokowskiej, szanownej i poważnej, choć jeszcze młodej wdowy również po cioteczym bracie ojca. Pani Dziokowska miała cudnej urody dwie młodziutkie córki i dwóch synów ładnych kawalerów.

Takiej urody i takich dorodnych panien mało się już dziś widuje, nie znały one blednicy ani anemji.

Potem pojechaliśmy do Dobrowlan do państwa Kazimierzostwa Gutowskich i do Rudnik, gdzie mieszkali państwo Swieżawscy i drugi mój stryj Adam.

Cała nasza wyprawa na Ruś, w strony rodzinne mego ojca, z których przeniósł się w krakowskie po ożenieniu z moją matką, składała się z rodziców, mnie malca, dwóch sióstr i brata starszego i z 6-ciu sług; trzech furmanów, kucharza, lokaja i panny służącej, oraz 9 koni, a trwała od pierwszych dni września do listopada, gdyż po kontraktach, we Lwowie, wróciliśmy dopiero z matką, bo ojciec dla interesów został jeszcze na Podolu do końca grudnia.

Tak to się odwiedzało rodzinę i co więcej

takie to były czasy, że, opowiadając je dzisiaj, nie chce się samemu wierzyć, iż taka liczna kalwakada, jak nasza była, państwa, sług i koni, goszcząc często w małym domku po kilka tygodni, a nawet miesięcy, nie rujnowała gospodarstwa, a przecie tak było. Tanie produkta i wiktuały, robiły nie tylko tanią drogę, ale i przyjęcie w domu.

Jak stosunki gospodarskie, jakie my pamiętamy w pierwszych dziesiatkach naszego stulecia, znacznie się zmieniły, tak i życie na wsi znacznej uległo przemianie.

Dopóki dziadowie nasi byli zamiłowani w zagrodzie swej rodzinnej, pamiętali pacierz i katechizm przez matki zaszczepiony i staropolskich cnót i obyczajów nie wyrugowały cudzoziemskie mody — póty nas bojaźń Boża utrzymywała w karbach porządku i w lepszym bycie.

Każdy dom był otwarty na przyjęcie gości — nie raz nie wiedzieli gospodarstwo, wiele osób siądzie do stołu. I stąd to powstało, że mówiono gdy łyżka upadła, ktoś głodny przyjedzie, lub trzeba coś schować dla „zagórskich panów."

Kiedy zwyczaje obce i coraz gorsze czasy zmieniały nas na zachodzie, Podole dłużej jeszcze zachowało tę staropolską gościnność w domach szlacheckich, bo większe majątki więcej dające dochodu, łatwiej dozwalały na życie dostatnie.

Nieraz, kiedy się już nikogo nie spodziewano, bo pora była brzydka i droga niesposobna do wyjazdu, nagle przed samym obiadem poczęto się zjeżdżać, tak, że nim wazę podano, zebrało się kilkanaście osób.

Taki dom, przepełniony zawsze gośćmi, był

pana Gaudentego Kuczyńskiego w Drohiczówce nad Dniestrem, krewnego i przyjaciela ojca, do któregośmy jechali i dłuższy czas w nim bawili.

Podobne jednak najazdy, jak nasz, domów szlacheckich, szczególnie jak powiedziałem na Rusi nie były rzadkością. Przy nas w Lataczu u teścia pana Kuczyńskiego, barona Heydla, późniejszego ojca i mojej bratowej, zasiadało do wilji Bożego Narodzenia kilkadziesiąt osób, samej rodziny, bo była liczna i zamieszkiwała całą prawie tamtejszą okolicę i nieraz tygodniami siedziała w Lataczu, bawiąc się wesoło, a młodzież ze starszymi różne figle płatała.

Raz postanowiły panienki jakąś ciocię nastraszyć, idącą wieczór ze dworu do oficyn. Przestrzeżona o tem ciocia wzięła dobrą rózgę i kiedy przebrane duchy napadły ją, poczęła się żegnać i jedną i drugą dobrze okładać, nie uważając w swoim mniemanym przestrachu że te się już przyznały, „ja Marysia“ „ja Joasia“. Pani nie słuchając żegnała i smagała rózgą, aż do samego progu, uciekające.

Pan Heydel drugą żoną miał córkę jenerała Hohendorfa, wielkiej zacności i rozumu kobietę, przy niej często przebywał brat starszy bez oka, a co gorsza, jak mówią z ćwiokiem w mózgu. Kiedy pułkownik Strzyżowski w r. 1809 stał obozem w Chmielowie, przyjechał do niego jenerał Hohendorf i ofiarował mu 4 synów na usługi ojczyzny, ażeby zastąpili starego ojca. Pułkownik ma się rozumieć z wdzięcznością przyjął ten patrjotyczny czyn ojca i z dzielnych synów miała potem armja polska walecznych i bardzo zdolnych oficerów, jak z Ga-

bryela i Juliana, którzy się potem i w 31 roku odznaczyli walecznością.

Lecz zobaczywszy pana Joachima, rzekł do ojca: za tego młodzieńca dziękuję panie jenerale, wolę, byś mi dał za niego kilka koni za swego stada w Szutromińcach.

Rodzina panów Hohendorfów od kilku wieków osiadła w Polsce miała od Augusta III. przywilej, a może i sam pan jenerał, na wieś Wodniki pod Lwowem, obok Szołomyji, która znowu do rodziny „Jeto" Malińskich krewnych pana jenerała należała

Przyjęcia wszędzie, gdzieśmy odwiedzali, było bez wystawy, ale dostatnie — i ta miła zawsze jednakowa, a zawsze serdeczna gościnność, w której dzień pierwszy był podobny do ostatniego, i w dłuższym pobycie nie tylko nie słabła ale się jeszcze owszem wzmacniała. Robiła też pobyt przyjemnym, który się z żalem żegnało i potem z tęsknotą wspominało

Gospodarz jak witał gościa z otwartemi rękoma na ganku, tak znowu po dłuższym pobycie, przy wyjeździe, używał różnych środków, ażeby go jeszcze u siebie zatrzymać. Konie co dzień zaprzęgano, tłumoki znoszono, ludzie byli gotowi, zaczynały się pożegnania, podróż się opóźniała, odkładano ją do jutra, nazajutrz z rana coś przeszkodziło, popołudniu konie znowu wyprowadzono, wtem ktoś nadjechał i wyjazd zwlekał się do nocy, a w nocy przecież jechać niepodobna. Nareszcie następował poniedziałek, w którym nikt nie wyjeżdża, we wtorek święto, w środę obrachowano, że na dzień naznaczony niepodobna już było stanąć w domu.

I tak schodził dzień za dniem, nim po ser-

decznych uściśnieniach, a często i płaczach opuszczano dom gościnny z wymówką gospodarza — niepotrzebnie się tak spieszycie — który długo jeszcze śledząc odjeżdżających wzrokiem, zrobiwszy ręką krzyżyk powtarzał: niech ich Bóg szczeńliwie prowadzi.

Stajnie gościnne były obszerne — owies nie liczono na intratę, ale na obroki. Nikt mniej jak czwórką nie jeździł, choćby i lekką bryczką zwaną „Najtyczanką“, a każda radna i uprzejma gospodyni, była zawsze przygotowana na przyjęcie licznych i częstych gości, nieraz zupełnie niespodziewanych.

Nie byli to sami sąsiedzi, ale krewni, przyjaciele i znajomi z dalszej okolicy — radość więc była wielka przy każdem przywitaniu. Gospodarz z otwartemi rękami na ganku witał, ściskał i całował, robiąc wymówkę, że dawno nie był, lub dziękował, że przyjechał.

O wygodę i wytworność przyjęcia mniej dbano i troszczono się, bo nikt więcej nie wymagał od gościnnych gospodarstwa nad to co, mówiło przysłowie.

— „Czem chata bogata, tem rada.“ W tej samej Drohiczówce, w której u państwa Kuczyńskich blisko dwa miesiące jak jeden dzień zeszło, potem w lat wiele, za czasów moich braterstwa, gdzie dom również był znany z gościnności staropolskiej, zdarzyło się mojej bratowej, że kiedy spiżarnia z mięsa i zabitego drobiu była wypróżniona najechało sporo osób. Kłopot nie mały, jak sobie poradzić, na szczęście tego dnia rano złapano w Dniestrze ogromnego suma, ważącego kilkadziesiąt funtów. Zabrano się prędko do rozpłatania tego wieloryba dniestrzań-

skiego i do przyrządzenia z niego całego obiadu, bo aktualnie cały obiad począwszy od rosołu, mieliśmy doskonały. Wszyscy się go nachwalić nie mogli i miłą i uprzejmą gospodynię okrył sławą kulinarna.

Każdy większy właściciel miał swój chów koni — i stada te miały często szeroką reputację dobrych albo ładnych koni, mniej może niż dziś rasowych, ale za to silnych i wytrwałych, z których się składały .dorodne i rosłe furmanki, lecz czasem znowu znane były i ze swoich narowów. Jak konie panów Dziokowskich w Hołobutowie, słynęły ze swej niespokojności, nie pozwalały siadać przed gankiem, tak, że nim wszystkie panie siadły do powozu, furman za każdą prawie wsiadającą osobą musiał w koło objeżdżać dziedziniec Do stad więcej w ten czas chwalonych należały: w stryjskiem Hołobutowskie i w Rudnikach dawniejsze stado Szeptyckich, w przemyskiem hrabiów Drohojowskich, a na Podolu Korytowskich, niewymieniając koni, jakie już wtedy słynęły, hrabiów Dieduszyckich i wielu innych.

Wspomniawszy o stadzie w Rudnikach, przychodzi mi na myśl szambelanowa Swieżawska, z domu Szeptycka, matka panów Zygmunta i Ludwika, która została mi w pamięci, jako jedyna dama, jaką jeszcze widziałem jeżdżącą zawsze czterema końmi z forysiem.

O wuju znowu tej samej pani szambelanowej Świeżawskiej, o panu Pakoszewskim, opowiadano mi, że mieszkając w Dziewiętnikach o pięć mil od Lwowa, dawał tutaj obiady, gotowane na wsi. Kozacy nadworni i pańszczyzna rozstawieni na całej przestrzeni podawali potrawy tak szybko,

że jak twierdzono nie potrzeba ich było nawet zagrzewać.

Należał on do tych wielu niestety ludzi, którzy po rozbiorze kraju, jako możniejsi od braci szlachty, dogadzali rozbujałej fantazji pańskimi narowami.

Ze Lwowa powracaliśmy tą samą drogą, jaką tam jechaliśmy, zatrzymawszy się również jak pierwej w Duńkowicach pod Radymnem u pana Karola Łapińskiego.

Z pobytu tam został mi w pamięci ładny ogród, gdzie altanki brzozowe, trzciną i szyszkami wykładane, niezmiernie mnie zajmowały. Był to bowiem czas, gdzie w całej okolicy przemyskiej, a może i większej części kraju idąc za przykładem Zarzycza hr. Morskiej, z domu Działyńskiej, zakładano ładne ogrody w guście angielskim i budowano piękne domy i budynki.

Pamiętam, że później widziałem opis Zarzycza i jego widoki.

Pan Łapiński, przyjaciel ojca, był to typ szlachcica, lubiącego żyć z panami, jednak trzymającego się wiernie swego stanu. Fortunę miał dosyć ładną, bo był człek dosyć skąpy — prowadził życie wdowca, gdyż żona, Drohojowska z domu, jako słaba na umyśle nie pokazywała się nikomu, najstarsza tylko córka, ładna panna Teresa, robiła honory gospodyni.

Opowiadała matka, że kiedyśmy pierwszy raz zajeżdżali, pan Łapiński witając na ganku jeden i drugi nasz powóz, na widok trzeciego ekwipażu bryki z rzeczami, nie mógł się pohamować i na głos zawołał: — „A kogoż tam jeszcze djabli niosą?“

Takie powiedzenie zapewne nie było przyjemne dla gości.

Miał także zwyczaj dawać służbie dyspozycję umówionymi znakami. I tak: jak zawołał — każ wyprzęgać konie, daj obroki — jeżeli rękę miał otwartą, wskazując do człowieka, znaczyło dobre przyjęcie, zaś jeżeli zamkniętą, znaczyło bardzo skąpe.

Nasze przyjęcie jednak musiało być wedle pierwszego znaku, bo obydwa razy bawiliśmy po tygodniu.

Wyjechawszy rano z Duńkowic, ażeby się wcześnie przeprawić przez San, czwartego dnia wieczorem stanęliśmy dopiero w Kossowej, którą już o trzy mile zobaczywszy cieszyła się matka widokiem swoich odwiecznych lip i kasztanów i z dumą powtarzała: wiele widziałam ładnych miejsc lecz takiego, jak ten widoku i takich pięknych drzew jak moje, nie widziałam. — Wszyscy to przyznawali.

I miała słuszność mówić, że widziała wiele ładnych miejsc, bo z Duńkowic zwiedzili rodzice Krakowiec, niegdyś wojewody Cetnera, a wówczas Leona hr. Potockiego, Sieniawę ks. Czartoryskich i Medykę pana Gwalberta Pawlikowskiego, a potem znowu wracając do domu, Przeworsk i Łańcut Matka, lubowniczka ogrodów, z ciekawością je zwiedzała kupując wszedzie kwiaty i krzewy, które prawie w rękach wieźliśmy mil kilkadziesiąt.

Powrót był upragniony nie tylko dla nas, ale i konie się nim cieszyły i spieszyły mimo piasku, bo wjechawszy na stary trakt w Wieliczce, mieliśmy dwie mile takiej ciężkiej drogi około Skawiny.

Wyjechał na przeciwko nas mój brat przyrodni Jan. Wszyscy ze łzami nas witali — babka, ciotka, obrzucały nas tysiącznemi zapytaniami, trzeba było szczegółowo całą podróż opowiadać i niejedno powtarzać, a ileż to przywieźliśmy prezentów, tak zwanych „gościńców“! Dziś nie tylko, że podróże inaczej się odbywają ale i inaczej utrzymują się stosunki rodzinne. Podróże takie swojemi końmi mniej w ten czas kosztowały, niż teraźniejsze zniżone koleje.

We Lwowie staliśmy u „Judki“ — był to hotel pierwszorzędny na rogu Sykstuskiej. do niedawna stał jeszcze ten dom. Karczmy, do których się na noclegi i popasy zajeżdżało, miały choć tyle wygody, że przy swojej pościeli i służbie, można było nie źle przenocować, choć trafiało się, że i na słomie pokotem posłanej w szynkownej izbie lub alkierzu, trzeba było noc przespać. Jednak, że wszystko było tanio i o wygodę mniej dbano, a może mniej ją znano, to można sobie było pozwolić tego rodzaju odwiedzin — choć zapewne może to była już ostatnia podróż z Krakowskiego w Kołomyjskie, jaką tu dla jej oryginalności opisałem.

II.

Później, kiedy już byłem wyrostkiem, zaczęto jeździć karetami pocztowemi, zwanemi „Eilwagenami“, przez lat więcej niż dwadzieścia między Lwowem a Krakowem, nim pierwszą kolej w Galicji zbudowano. Karety te odmienne od dzisiejszych, były na dwie osoby z kabrjoletem krytym, w którym przy konduktorze było jeszcze jedno miejsce dla pasażera — żółto lakierowane, na kładzionych resorach, z orłem cesarskim na drzwiczkach.

Z początku nawet nie codzień kursowały — potem dopiero liczba osób była powiększona z 3ech do 7miu i w takim razie dodawano drugą karetę poczwórną, zwaną „Beiwagen“, jakie teraz jeszcze na bocznych drogach kursują, nim ustanowiono nieograniczoną liczbę osób, które jeśli nie z głównego punktu Lwowa lub Krakowa się zapisały, to dodawano jeszcze po stacjach prywatne powozy, a w razie jak ich brakło panu pocztmistrzowi, dodawano bryczki kryte, trzęsące.

Przed zaprowadzeniem tego regularnego ruchu, istniała także jazda w pocztowych kare-

tach, lecz zatrzymująca się dowolnie, a oprócz tego dodawano „extra pocztę“ do własnych powozów w miarę ich ciężkości — dwa, trzy lub cztery konie.

Pocztyljoni ubrani byli w uniform ciemno zielony z pomarańczowymi wyłogami, żółte skórzane spodnie do palonych butów, kapelusz skórzany z pomarańczowym włosieniem, trąbka na żółto-czarnym sznurze, a w razie słoty płaszcz biały z dużą peleryną; kostjum zaś galowy pocztyljonów był taki: stosowany kapelusz, reitfrak czerwony, białe łosiowe pantalony do butów ze sztylpami.

Pocztmistrze byli obowiązani, przepisaną liczbę koni utrzymywać, ażeby na każde wezwanie były konie w pogotowiu; konie trzymano duże i ubierano je w chomonty, zwane pocztowymi. Chcąc jednak przy extra-poczcie naprzód mieć konie przygotowane, zamawiało się je na kilka godzin pierwej.

W ostatnich kilku latach kursowała jeszcze między Lwowem a Krakowem kurjerka, która przesyłek i poczty nie brała, konie na stacjach osobno dla niej przygotowane czekały na jej nadejście. Zatem jazda była szybka i o kilkanaście godzin prędzej stawało się niż „Eilwagenem“, więc za to drożej kosztowała i tylko trzy osoby zabierała. Miejsce zamawiało się na kilka godzin przed odejściem „Eilwagenu“ i rzeczy tak samo potrzeba było wcześnie oddać w przepisanej wadze. Każdy jadący był w książce konduktora zapisany, oprócz tego miał daną na swoje imię kartę z numerem porządku i z oznaczeniem, skąd i dokąd jedzie i ile zapłacił. Jazda ze Lwowa do Krakowa wynosiła 15 zł. 47 ct.

C. M. Na śniadanie obiad i kolację były godziny i stacje oznaczone, gdzie i jak długo ma się zatrzymać „eilwagen“.

Główna ta arterja, przecinająca wzdłuż Galicję, była pełna ruchu w pierwszej połowie tego wieku — co moment spotykało się ładowne bryki z towarami idące długim szeregiem po cztery, pięć, a często i sześć koni zaprzężone. Przy tem spotykało się różne powozy i bryczki czterokonne. Powozy miały różne walizy z tyłu i na wierzchu wszystko to przy mijaniu wymagało ostrożności, dla tego pocztyljoni otrąbiali ciągle swoje zbliżenie, ażeby im zdaleka ustępowano. Na każdy wypadek mieli inną przepisaną nutę. Uczono ich trąbienia i niektórzy ładne walce, marsze i inne kawałki wygrywali, co w nocy po rosie daleko słychać było i jak dziś słyszy się idący pociąg i świst lokomotywy, tak się słyszało trąbkę pocztową.

Owe zaś bryki z towarami były rozmiaru olbrzymiego, koła pod niemi były dwa razy tak wielkie jak u zwykłych wozów, konie duże, wypasione, zaprzężone w chomonta szerokie z mosiądzem i borsuczemi skórami po bokach, furman w szlafmycy lub w kapeluszu, w niebieskiej bluzie po wierzchu szedł przy koniach, a pies pincz pod bryką. Byli to po większej części Niemcy zarabiający taką furmanką znaczne sumy i nie raz można było słyszeć, że tacy furmani kupowali potem majątki; nawet u nas w Galicji takiego kupca widziałem, który przyjechał z pod Ołomuńca kupować Kossowę.

W drodze mieli swoje umówione stacje, gdzie na noc i na popasy stawali, dając owsa po kilka garncy na konia.

III.

Taka podróż „eilwagenem" przypomina mi dosyć zabawną przygodę, jaką miałem z dobrą p. burmistrzową.

Po wypadkach nieszczęśliwych w 1846 roku byłem uwięziony w Bochni wraz z tysiącem osób winnych i niewinnych, które zamykano wówczas w zachodniej Galicji po cyrkułach.

W czasie więzienia ciągniono z nami codziennie prawie różne indagacje, nietylko przez cyrkuł, wojskowość — sąd kryminalny, ale i przez urząd miejski.

Pamiętam rodaka burmistrza, który się do tego stopnia wobec mnie potem zapomniał, że ten jego postępek chcę tu opisać.

Po kilku tygodniach kozy bardzo ostrej i przykrej — przyprowadzono mnie do kancelarji miejskiej, a dodać muszę, że stało się to do mnie nader niespodzianie, bo kiedy o wiele mniej winnych zostawiłem w więzieniu, sam nie mogłem się spodziewać skrócenia niedoli, ale owszem srozszego losu, przeniesienia do cięższego więzienia do Wiśnicza, jak co chwila z naszych prowizorycznych, przepełnionych więzień wysełano.

*

Powierzchowność moja wyglądała na małego urwisa — surdut podarty, buty bez podeszew — z gołą głową — pod pachą z darowaną w więzieniu poduszeczką i pewną częścią brudnej bielizny.

Widok więc takiego młodego chłopca zapewne ośmielił pana burmistrza, iż kiedy długo czekałem przy drzwiach na jego przybycie, zaraz na wstępie, skoro mnie ujrzał, ostro zapytał o nazwisko, a potem przejrzawszy stos aktów leżących na stole, z wielkiem na twarzy zdziwieniem i nawet niezadowoleniem przeczytał mi moje uwolnienie, iż na prośbę matki za wstawieniem się br. Baum, hr. Lazański, wicegubernator uwolnił mnie.

Taka miła niespodzianka wielce mnie ucieszyła i chcąc tę radość lepiej mu okazać, przybliżyłem się do niego, ażeby mu wyrazić podziękowanie.

Na to surowy ten człowiek zapewne moją nie salonową powierzchownością zrażony, wybuchnął gniewem i z całą siłą uderzywszy pięścią w stół krzyknął.

— Za drzwi urwiszu, a nie do mnie się przybliżać! — na dole wydadzą ci świadectwo uwolnienia: precz!

Postępek taki niczem niezasłużony i najmniej spodziewany, wycisnął mi łzy z ócz, a choć gniewem i żalem zapłonąłem, nic mu nie odpowiedziawszy — wyszedłem z bolem serca i zakończyłem tą ciężką obrazą moje kilkutygodniowe więzienie.

Dopiero w lat kilka wracając pocztą z Krakowa, wydarzyła mi się sposobność, przypomnieć się pamięci panu burmistrzowi.

W Tarnowie, gdzie „eilwagen“ dłużej się w nocy zatrzymywał, przyszedł do mnie mężczyzna nieznajomy, prosząc o opiekę nad osobą, jadącą pierwszy raz do Lwowa.

Przypatrzywszy się potem tej damie, zobaczyłem na moje zdziwienie, iż potrzebuje opieki, osoba niemłoda.

Po krótkiej z nią rozmowie dowiedziałem się, że jest żoną burmistrza w Bochni.

Usłyszawszy to nazwisko, żywo przypomniał mi się ten srogi człowiek, więc i prędko ułożyłem plan zemsty — postanowiłem ukarać grzecznością i na pierwszem zaraz śniadaniu dałem konduktorowi reńskiego, ażeby jak będzie pytany o moje nazwisko w jego książce zapisane, nie powiedział go pod żadną groźbą, ale tłumaczył się, że książkę ma zamkniętą.

Na co oczywiście on chętnie przystał, a ja rozpocząłem bezgraniczną uprzejmość. Począłem tę panią wsadzać i wysadzać z karety, podawać potrawy, nieledwo krajać na talerzu i mięszać w filiżance kawę, czy dosyć jest słodka i dostatecznie śmietanką rozpuszczona.

Pani ujęta taką niezwykłą nieznajomego młodego człowieka grzecznością, przed samym już Lwowem poczęła na mnie nalegać, ażebym jej powiedział komu ona jest winna tyle przyjemnych usług w swej podróży. I kiedy tak opierając się razem z konduktorem jej naleganiu — czułem, że plan się mój powiódł, bo pani była mną zachwycona, a konduktor ujęty datkiem, nie powiedział jej mego nazwiska.

Dopiero po dłuższym naleganiu, że musi wiedzieć komu zawdzięcza tę przyjemną opiekę nad sobą, ażeby mogła to wszystko za powro-

tem mężowi opowiedzieć, — wyjawiłem powód mej grzeczności jako chęć odwzajemnienia się za opiekę w Bochni.

— Ach! mój Boże — cóż dziwnego — mój mąż Polak, co mógł to robił, aby ulżyć tę straszną niedolę.

— Tak pani, rzekłem — tylko ze mną stało się przeciwnie — i ledwo począłem opowiadać całą moją przygodę z mężem — pani dostała mocnych kurczowych ze śmiechem spazmów, a ja, zobaczywszy ją siną i strętwiałą, odemknąłem okienko w karecie do kabrjoletu i zawezwałem pomocy konduktora.

Konduktor wytraszywszy się razem z oficerem, który z nim siedział — postanowili wysadzić panią dla lepszego ratowania z karety, lecz cóż to w czystem polu z chorą było robić? — położyliśmy ją na kupie kamieni i poczęli trzeć całe ciało, a przyniesioną na prędce z niedalekiej karczmy wodą trzeźwić.

Trwało to dosyć długo, bo chora za każdą razą, jak mnie zobaczyła, wpadała w powtórne ataki—tak, że dopiero po długiej godzinie, uspokoiliśmy straszne spazmy, z pomocą pań, które nadjechały, bo widząc chorą wśród drogi, wysiadły i nam pomagały ratować biedną kobietę.

Położenie moje było więcej jak okropne — na twarzy malował się przestrach, a w całem zachowaniu się konfuzja, gdyż konduktor i oficer wskazywali mnie jako winowajcę tego cierpienia. Panie zaś z lekka badając co zaszło między nami, na moją każdą sumienną odpowiedź, że nic nie jestem winien trzęsły główkami z wielkiem niedowierzaniem i napomniawszy mnie, bym

więcej nie dawał powodu do powtórzenia tego cierpienia, odjechały.

Mogę jednak być pewnym, że tak te panie jak pan konduktor i oficer, jeśli pamiętają tę przygodę, różnie ją opowiadają.

Siadłszy potem do karety, gdyż oficer na prośbę moją był głuchy, ażeby mi odstąpił swego miejsca, choć podróż nasza była już krótka, bo to się działo między Bartatowem a Lwowem, stała się dla mnie wiekiem

Poczciwa kobieta płakała i męczyła mnie, bym jej przyrzekł, że będąc w Krakowskiem wstąpię do niej, by mąż w jej obecności mnie przeprosił, bo inaczej spokojnie nie umrze, mając taką niewinnie wyrządzoną krzywdę.

Naturalnie, że chcąc ją uspokoić, przyrzekłem, że będę u niej w Bochni, choć uprzedziłem, że takiego przeproszenia nie wymagam, bo jako dobry chrześcijanin przy pierwszej spowiedzi winę jego odpuściłem.

Nie dopełniłem jednak mego przyrzeczenia, bo kiedym był w lat kilka w tamtych stronach pan burmistrz już nie żył.

VIII.

Marmorbruket.

Jak dziwne były losy naszej starej emigracji po 1831 roku, która rozbiegła się po szerokim świecie, nie każdemu wiadomo. Było w nich wiele biedy, fantazyj, burzliwych przejść, zmarnowanych nadziei — od których zawodów nie byli wolni nawet przewódzcy jej, ludzie powagi i znaczenia.

Dla tego pamiętniki z tych czasów, wielce są zajmujące i kiedyś historja chciwie ich poszukiwać będzie, bo ileż to pięknych charakterów, ile poświęcenia dostarczyła ta epoka naszego upadku.

Mając więc w pamięci opowiadanie pana Ludwika Różyckiego podaję go jak słyszałem.

Pan Ludwik młodziutkim chłopcem, bo zaledwie 17 lat mając, zaciągnął się do wojska i po kampanji, nie chcąc wracać do kraju, po krótkim pobycie w Galicji w domu moich rodziców w Kossowy, wyjechał do Francji, wraz ze swym rodzonym wujem pułkownikiem Ignacym Bro-

niarskim bratem mojej stryjanki jenerałowej Wybranowskiej.

— Mówiłem ci już, rzecze raz do mnie, że czytając w twoim pamiętniku wzmiankę o moich kolejach losu w emigracji znalazłem w niej mylnie podany powód i sposób, w jaki dostałem się do Szwecji.

Pozwól więc, że ci go sam opowiem.

— Ciężka praca na tułactwie po długim przeciągu czasu, wyrobiła mi stanowisko lepsze szczególniej w świecie finansowym i handlowym przez bankiera, którego w biórze lat kilkanaście pracowałem.

W domu, gdzie mieszkałem w Paryżu z wujostwem Broniewskimi, należącym do pana Jeanson de la Chernage, stryja mej żony, mieszkała także staruszka szwedzka baronowa von Düben, siostrzenica szwedzkiego ministra w Paryżu hr. Lövenhjehn; pani ta z wujostwem, a szczególnie z moją żoną żyła zażyle.

W czasie wystawy angielskiej przyjechał z Anglji pan Lemelgren Szwed, w zamiarze sprzedania bardzo znacznych kopalni cynkowych, jakie posiadał w Szwecji, a które nie udało mu się sprzedać w Anglji.

W tym samym czasie mieszkało także w Paryżu trzech Szwedów, z których jeden br. Lillichvech był kuzynem pani Düben, i ci panowie zaproponowali mi współkę do interesów międzynarodowych z Francją i Szwecją, znając moje dobre stosunki w świecie finansowym — do których głównie należał interes kopalń cynkowych pana Lemelgren, którego szwedzki minister do mnie skierował i prosił, ażebym tą sprawą się zajął.

Po dwuletnich zabiegach, kilku podróżach do Szwecji i różnych ztąd wynikających trudnościach, udało się w końcu sprzedać te kopalnie towarzystwu belgijskiemu Vieille Montagne za dwa i pół miljona franków. Towarzystwo to prócz ceny nabycia, w przeciągu czterech do pieciu lat użyło podług pokazywanych mi dowodów u bankiera w Sztokholmie jedenaście jeszcze miljonów na urządzenie kolosalnych fabryk, budowli, koleji żelaznych na swym dwumilowym obszarze kopalni, postawienia własnych parowców, które dotychczas oczyszczony na miejscu minerał do Belgii przewożą.

Prowadzenie tego interesu z naszej współki ja jako czynny członek wyłącznie byłem zajęty sprzedażą także i innych produktów szwedzkich jak stal, żelazo, drzewo, smoła, owies, sprzedażą ładunków okrętowych, których nieraz do 30 w różnych portach Francji, Belgji i Algierze mieliśmy, a o które towary podczas wojny krymskiej wielki był popyt i odbyt.

Interesa te polegały na tem, że właściciele okrętów dostawali pewną część wartości ładunku po przybyciu do portu, a oprócz tego płaciliśmy fracht kapitanowi okrętu, reszta wypłaconą była po sprzedaży ładunków.

Dla wojny wschodniej ceny były bardzo wysokie, ale po wzięciu Sebastopola i po zawarciu tak głupiego pokoju przez Napoleona III. wszystkie porty rosyjskie były otworzone i przepełnione towarami; ztąd powstał spadek — tak że towarzystwo nasze mając wtedy 36 okrętów w portach i zaliczywszy pięć ósmych wartości, poniosło ogromne straty.

Robiąc interes z kopalniami cynku mieliśmy

zapewnione od właściciela 200.000 franków komisji i kosztów, a ja osobno 150.000 jako głównie prowadzący ten interes, chcąc jednak potem uniknąć upadku, musiałem dodać z mojego zysku 40.000. Inżynierowi zaś, który ze mną jeździł i dostarczał wymaganych raportów ze swych badań, zapłaciłem także 20.000, pozostało mi tylko 90.000, za które kupiłem własność w Szwecji Marmorbruket, znaną od dawna ze swych obszernych łomów marmuru.

Gdybym był wtenczas wrócił do kraju z tym kapitałem, byłbym niezawodnie lepiej wyszedł, ale mój szwagier żył jeszcze, dla którego o powrocie do Rosowiec myśleć nie mogłem, a do Galicji nie wolno było przyjeżdżać emigrantowi. Przy tem zarobiwszy tę sumę w Szwecji, w kraju, który mi się bardzo podobał, gdzie u mieszkańców tamtejszych zarobiłem na dobre imię, i lubiany byłem powszechnie, uważałem za swój obowiązek osiąść w tym sympatycznym i gościnnym kraju, czego i żona moja również sobie życzyła.

Po nabyciu i zajęciu się wyrobami marmuru, podniosłem przemysł i przedsiębiorstwo do niezwanego pierwej stanu. Wyroby moje marmurowe zdobią jeszcze dziś większe budynki w Szwecji i niejeden cmentarz ma mego wyrobu pomniki.

Poznawszy się z profesorami sztuk pięknych, z architektami i innymi ludźmi uczonymi, a zaszczycony szczęśliwie względami i łaską króla Karola XV. zatrudniałem do 150 robotników, ale nie mogąc odstawiać robót podczas zimy dla lodów, potrzebowałem znacznych kapitałów nakładowych; namówiono mnie do zawiązania Towarzystwa akcyjnego, i to mnie zgubiło, bo

dostawszy trzecią część akcjami, Towarzystwo upadło i moje akcje spadły do zera, resztę łatwo się domyśleć. W końcu straciłem żonę i wróciłem do Francji.

Na tem skończył opowiadanie swoje pan Ludwik. Koleje losu tego zacnego człowieka, bez żadnych zasobów utrzymania na tułactwie krwawo zarabiającego i potem wszystko tracącego, wydały mi się o tyle zajmujące, że je tu przez niego opowiedziane opisałem.

IX.

Straszna kuracja.

Słysząc o coraz nowych systemach leczenia, jakie nauka medycyny i rozum ludzki ciągle tworzą, przychodzi mi na myśl nie anedgota, ale prawdziwy wypadek, jakiego byłem świadkiem, wyleczenia człowieka z ciężkiej choroby.

Będąc w szpitalu po rabacji w r. 1846 w Bochni, byłem leczony wraz z kilkudziesięciu kolegami, jak było nas w jednej sali, okładami z zimnej wody, które były wykonywane jednakowo na wszystkich chorych bez różnicy stanu pobicia, pokaleczenia, a co więcej i ran ciężkich.

Nim jednak znalazłem się w szpitalu, godzi mi się wspomnieć, że byłem pierwej jako mało dający znaku życia, złożony w trupiarni, gdzie ksiądz nad konającymi odmawiał modlitwy. A o ile sobie przypominam, kolegami mymi w tej izbie nieuleczalnych byli Marcjan Zeliński z Gratkowic bez szczęki i języka konający, Antoni Janta, mandatarjusz ze Staniątek z rozprutym brzuchem, z którego jelita w drodze wyrzucano, rotmistrz od dragonów Bieliński z śmiertelnemi ranami

w głowie i na ciele i wielu jeszcze innych, którzy konali, albo byli już martwi.

Po odzyskaniu dopiero nieco nadziei życia, przeniesiono mnie do szpitala.

Tu leżeliśmy pokotem na posłanej słomie w około ścian, byliśmy poobwijani, a więcej nakryci prześcieradłami, które co chwila polewaniem zimną wodą były zwilżane, tak, że para z nas wychodząc, formowała deszcz w izbie, bo ciągle się skraplała.

Na wszystkich nas chorych kuracja ta dobrze działała, bo puchlina prędko ustępywała i gorączka się zmniejszyła.

Na koledze tylko jednym nie zrobiła żadnego skutku, jak był prawie martwym, sztywnym, cały spuchnięty, takim pozostał. Puchlina po kilku dniach poczerniała i skóra zrobiła się szklącą.

Lekarze osądzili, że potrzeba poprzecinać ją, aby wodę z niej wypuścić.

Co też zrobiono — woda wyciekła, chory uczuł się lepiej, mógł zginać nogi i ręce, które pierwej były bezwładne.

W takim stanie zostawiłem mego kolegę pana S. byłego komornika forum Tarnowskiego, starego kawalera, od kilku już lat na silny artrytis chorego, z bolów złamanego, który jako kuzyn czy przyjaciel państwa Konstantych Romerów w Jodłowniku u nich mieszkał i w lecie leczył się w Trenczynie a w zimie zaszyty w flanele nie wychodził ze swego ciepłego pokoju, a często i z łóżka.

Tak zastały go wypadki i biedny chory nieprzewidując swego nieszczęścia, nie przygotował się do niego.

Nieubranego, spoconego, wyciągnięto z pokoju w koszuli na podwórze i w nielitościwy sposób pastwiono się nad nim jak i nad innymi ofiarami.

W drodze potem, kiedy ich do cyrkułu wieziono, uradzono wrzucić wszystkich do Raby, bo ktoś powiedział, że w Bochni za „ciarachów" już nie płacą.

Plan taki prędko został wykonany i kiedy wszyscy już w rzece tonąć zaczęli — znowu ktoś krzyknął od brzegu — wyciągnąć z wody, wieść zaraz do cyrkułu.

Komenda widocznie pochodziła od naczelnika „czerni", gdyż jej pilnie usłuchano i powieziono dalej.

Lecz niewiele im to pomogło — zaraz po wsiach przed karczmami bito ich na nowo i martwych już prawie przywieziono do Bochni.

Będąc potem wcześniej niż moi koledzy ze szpitala do więzienia odstawiony, nie wiedziałem co się z nieszczęśliwym chorym stało? jak długo się jeszcze męczył? — bo żeby wyzdrowiał, nikt nie sądził.

Dopiero odwiedzając w lat kilka w krakowskiem pana Ludwika Romera w Krakuszowicach, zdziwiłem się niemało, jak usłyszałem od niego, że łazarz ten żyje — nie potrzebuje już Trenczyna, i nawet konno jeździ.

Zaiste, kuracja to była straszna — mało kto poddałby się jej — lecz panu S. widocznie przyniosła dobry skutek i często potem mawiał:

— Ja jeden na tych zgrozą przejmujących wypadkach w mojem kalectwie dobrze wyszedłem.

X.

Burmistrz Stankiewicz.

Na tem przekonaniu oparty, że każdy, choćby drobny i mało znaczący szczegół z tych zgrozą przejmujących bratobójczych czasów, dla późniejszego historyka, nie będzie bez wartości, ulegając prośbie wielce szanownego księdza Stefana Dembińskiego, ażebym dalsze moje notatki podał — skreśliłem co następuje.

— Opóźniłem przesłanie obszerniejszej mojej odpowiedzi na list czcigodnego pana, a to z powodu, że chciałem zebrać szczegóły, jakie mu są pożądane o smutnych wypadkach w r. 1846.

Niestety nie wiele jednak więcej mogę się przyczynić nad to, co pierwej opisałem, gdyż wypadki drugich mało mi są wiadome, a rozbudzone namiętności u ludu z jedną gwałtownością prawie, wszędzie smutek, kalectwo i zniszczenie mienia przynosiły.

Czy z wypadku, czy z poczucia ludzkości, czy może też z wyższego już nakazu w Wadowicach burmistrz Stankiewicz zatrzymał szerze-

nie się mordów i rabunków w całym powiecie, gdyż za pierwszą przywiezioną ofiarę, począł nielitościwie bić chłopów, tak że oni powróciwszy do domów zachowali się spokojnie, głosząc, że w cyrkule biją i nie przyjmują zawiezionych.

Za ten jego czyn szlachetny miasto potem laskę, którą bił, oprawiło kosztownie w srebro i wyryło na niej stosowny napis z jego herbem i tak mu ją ofiarowało na pamiątkę.

Starosta Lozert człowiek uczciwy ale miękki urzędnik usunął się, a zastępował go komisarz Ostterman, człowiek bez serca. Odebrałem tego dowód także i na sobie, bo nie tylko po naszym z matką przybyciu do Wadowic nie pozwolił na pobyt w mieście, ale zaraz wręczył mi certyfikat i kazał jechać do miejsca mego urodzenia i gdyby nie ten sam pan Stankiewicz, który jako burmistrz dał pisemne pozwolenie zatrzymania się przez jeden dzień — bylibyśmy musieli natychmiast udać się do Kossowy Na przedstawienie zaś moje, że pobyt na wsi nie jest bezpieczny jeszcze, komisarz, za to, że mówiłem do niego polsku, jako uczeń krakowski nie umiejący po niemiecku wydalił mnie za drzwi.

Jak zaś dalece u ludu były pomięszane pojęcia o tem co się działo, a nawet o własności, dosyć jak powiem, że w parę dni po przybyciu naszem i zamieszkaniu we wsi pod strażą wójta, gdyż woleliśmy to niż w pustym dworze, przyszedł do nas gospodarz kossowski Jan Paulus z tem oświadczeniem od całej gromady, iż ona uradziła zatrzymać mnie u siebie jako swego dawnego pana, bo Dąmbskiego owczesnego właściciela, nie chcą, a nawet on już i tak nie po-

wróci, gdyż cesarz nadał prawo wybrać sobie, kogo zechcą.

— Wczoraj w Wadowicach — tak dalej mówił o tem nam — ogłosili na rynku, iż dają w cyrkule „cwancygiera“ za milę temu, co zechce iść do Ołomuńca przypatrzeć się, jak w przyszłym tygodniu będą wieszać Dąmbskiego z synami.

Z taką wiarą to wszystko opowiadał, że trudno mu było wyperswadować.

Podobne historje, jedna od drugiej dziwaczniejsze i potworniejsze powtarzały się między ludem, i o ile nam była przyjemna kossowskich ludzi przychylność, to pobyt znowu między tak zbałamuconymi ludźmi, był arcyprzykry, co chwila tworząc nową obawę.

Lud kossowski, choć był nieco inteligentniejszy od innych wiosek, ulegał jednak tak samo temu obałamuceniu, jakie już od roku dawało się po wsiach spostrzegać.

Opowiadano, że w lasach kryją się ludzie o jednem oku, którzy przyszli z Ameryki, ażeby ich mordować.

Wynosili się nieraz po nocach ze swoich chałup — i takie to obałamucenie sprawiane niewiadomą ręką przygotowywało to zdziczenie, że chłop nazywając się „cesarskim“ w „Polakach“ widział swych wrogów.

Podobne bajki o ludziach o jednem oku z Ameryki, — słyszałem sam od kobiety, która przyszła w zimie do mojej matki do Krakowa, i z największą wiarą opowiadała, iż nocując w kossowskim lesie na własne oczy ich widziała.

Były zdarzenia, które jasno usposobienie

ludu przedstawiały. W jesieni w r. 1845 u pana Bolesława Kałuskiego w bocheńskiem kilku młodych ludzi zjechawszy się, biło się na pałasze.

Dano o tem znać do wsi i zaraz gromada dwór otoczyła trzymając ich pod wartą, ażeby nikt się nie wydalił, pokąd nie przyjedzie z cyrkułu zawezwany komisarz.

Wypadków takich dałoby się wiele przytoczyć na dowód jak nieoględnie i lekkomyślnie panowie przygotowujący nieszczęśliwy ruch, nie chcieli, czy nie umieli o prawdzie się przekonać.

XI.

Pan Radca.

Kraków jest mi zawsze drogiem miastem nietylko dla tych historycznych pamiątek, jakie w swoich bogatych świątyniach i starych murach przechowuje, które ja całą duszą ukochałem, ale i dla tych uroczych wspomnień z lat mojej młodości w nim spędzonej.

Chętnie więc tam jadę i chętniej jeszcze dłużej w nim bawię.

Powracając w r. 1858 ze Szczawnicy zatrzymałem się w Krakowie i po kilku dniach przyjemnego pobytu namówili mnie krewni i znajomi, ażebym pojechał do Królestwa odwiedzić starszą, a prawie wcale mi nieznaną siostrę. Stosunek mój bowiem z przyrodniem rodzeństwem nie był jednakowy, bo matka pójściem powtórnem za mąż, nie zadowolniła najstarszej swej córki, co wpływało, że ja, kiedy z braćmi się chowałem, siostrę mało widywałem. Lata mijały, wyrosłem na młodzieńca, a jeszcze jej nie byłem prawie dobrze znany.

Uczucie jednak naturalne w rodzeństwie

odczuwało się i po śmierci naszej matki, życzyła sobie widzieć się ze mną, lecz że mieszkała w Królestwie, a ja już na Rusi, więc nie zaraz temu jej życzeniu mogłem odpowiedzieć.

Majątek mego szwagra Geszyce bardzo zacnego człowieka leżał zaraz za granicą przy komorze Baran.

Nie mając paszportu, którego wówczas bardzo przestrzegano, tylko kartę legitymacyjną wystarczającą na jeżdżenie po kraju, a nawet i całej monarchji, poszedłem do prezydjum, jakie przy podziale Galicji na dwie odrębne części w Krakowie urzędowało, prosząc o przepustkę 8-dniową do Królestwa.

Pomimo, że miałem tam komisarza Niesiołowskiego dobrego znajomego całej mojej rodziny i tak samo w dyrekcji policji komisarza Dulkiewicza, który doskonale nietylko mnie, ale i braci moich znał z czasów, kiedy mieszkaliśmy w krakowskiem, obydwa ci panowie uznawszy niemożliwość wydania mi paszportu odmówili mej prośbie.

Jakże potem dziwnie odbijał ten pedantyzm biurokracji ówczesnej w Galicji od grzeczności nieznajomego zupełnie człowieka, a urzędnika obcego państwa.

Po odmówieniu przepustki ośmio-dniowej nie pozostało nic innego, jak udać się na komorę Baran i tam widzieć się na granicy z siostrą — wziąłem więc fiakra i wybrawszy się w dzień targowy, bo na komorze Baran odbywają się targi zbożowe, posłałem posłańca do Goszyc.

I kiedy tak czekam powrotu posłańca, kupcy zbożowi zaciekawieni moją osobą poczęli

mnie indagować, co znaczy mój przyjazd i na co czekam?

Bojąc się zatem popaść w niepotrzebne posądzenie wyjawiłem mój powód czekania.

— Co, pan szwagier pana z Goszyc i pan tu siedzi?

— No, cóż mam robić, kiedy paszportu nie mam?

— Chodź pan ze mną do pana radcy Dymszy, on pana zaraz puści.

Widząc, że nic złego stać się nie może, jeżeli pan radca odmówi — poszedłem do niego z poważnym kupcem, który jako znajomy mego szwagra do tego mnie namówił.

Pan radca Dymsza rodem Litwin, weteran z wojska o szczudle bez nogi z kilkoma krzyżami na piersiach, słusznego wzrostu z przyjemnym wyrazem na twarzy zapytał mnie sucho — co sobie życzę?

Opowiedziałem natychmiast, że do tego śmiałego kroku jedynie ten kupiec mnie namówił, bo taką wielką śmiałością nazwać muszę moją prośbę o pozwolenie bez paszportu na przejazd do Goszyc.

— Jakto, pan jesteś ten brat pani Boduszyńskiej, którego przybycia tak z upragnieniem czeka? Cóżeś pan zrobił?

— Dałem znać o mojem tu przybyciu posłańcem.

— Ach, jakżeś mógł pan coś podobnego zrobić — pozbawiłeś mnie przyjemności zrobienia tej miłej niespodzianki. — Proszę zaraz jechać końmi, jakie pan ma z Krakowa, ażeby uprzedzić jeszcze posłańca i możesz pan zaba-

wić w Goszycach czterdzieści ośm godzin, a fiakra proszę zaraz odesłać.

Grzeczność tak wielka nieznajomego człowieka była prawdziwą niespodzianką.

Podziękowawszy za nią, pojechałem zaraz. Lecz ujechawszy ledwo może jeden kilometr, słyszę wołanie kozaka za sobą, ażebym się wrócił.

Nie było rady, powracam i kiedy jestem pewny, że pan radca swoją grzeczność cofnął, zastaję go wychodzącego do mnie z drugim urzędnikiem, który trzyma wielką księgę.

— Przepraszam pana za moją nieuwagę, pragnąc pana prędko wyprawić, nie spytałem się o imię, a ta wiadomość jest potrzebną.

— Jestem Aleksander — nie Antoni, ani Roman, ani Jan.

— Skądże panu wiadomo, że chodzi mi o te imiona? — i dla czego tak śmiało pan to mówi?

— Bardzo naturalnie, proszę pana radcy — Antoni był mój ojciec, więc za niego brany być nie mogę — Roman, stryj, był dowódcą pułku w 1831 roku — Jan dawno umarł w Ameryce — wszyscy trzej mieli zabroniony powrót do Królestwa.

— Dobrze to jest — niech pan jedzie, ale drugi raz — nachyla mi się do ucha i cicho kończy — niech pan tego tak śmiało urzędnikowi komory nie mówi — jest nas tu dwóch.

Podziękowawszy powtórnie za łaskę mi wyświadczoną, pożegnałem go serdecznie, lecz to wszystko przybycie moje do Goszyc opóźniło i zastałem siostrę już wyjeżdżającą.

Takie to były czasy u nas w Galicji i w Królestwie odmienne od dzisiejszych, a przecież

Galicja wolniej już oddychała i w ową chwilę miała u steru rządu rodaka, męża wielkiego rozumu i zacności, hrabiego Gołuchowskiego, którego imię każdy ze czcią i szacunkiem wspomina, a historja zapisze go wpośród ludzi zasłużonych w kraju.

XII.

Słonka.

Pamiętam, że było to w r. 1858, wracałem ze Szczawnicy i w powrocie swoim wstąpiłem do Wojnicza.

Była to pora, gdzie co roku odbywały się liczne polowania w Wojniczu, z wielkim udziałem nietylko sąsiadów ale i z dalekich stron przyjaciół i znajomych gospodarstwa.

Któż bowiem nie zna i nie ma jeszcze w dobrej pamięci gościnności tego na wskróś polskiego, zamożnego szlacheckiego domu i jego w owe czasy przez wszystkich kochanego gospodarza, tak powszechnie znanego dla ogólnej miłości „kochanego Władzia", i tego do końca życia wesołego humoru, który go nigdy nie opuszczał, a nawet tej małej na bakier noszonej czapeczki.

Otóż tam zastawszy więcej jak zwykle liczne towarzystwo, bo się nietylko składało z wielkiej liczby myśliwych, ale i z ozdoby naszej: wielu pięknych pań, bawiłem się doskonale, gdyż każdego dnia prawie przez tydzień tańczyliśmy do późna wieczór, a nawet jak sobie przypomi-

nam, zakończyły się polowania wielkim balem, danym na cześć goszczącego tam Jener. Skrzyneckiego z córkami, a podobno jeszcze nietyle dla niego, co dla ks. Witołda Czartoryskiego, bawiącego pod tę porę w Gumniskach.

Wszystko to przyjemnie zapisało się w mojej pamięci, jednakowoż — konfuzja jaka mnie tam spotkała, jeszcze pamiętniejszą została.

Bo cóż powiecie panowie — słonkę zabiłem na drzewie — tak jest, nie kłamię, siedziała na smerece czy jodełce i dlatego ten wypadek, nielada ciekawy, który mnie zrobił w oczach myśliwych kłamcą, jakiego dotąd w annalach myśliwskich nie było — chcę tu opisać.

Myśliwym nie jestem, a wtenczas jeszcze mniej nim byłem. Przyznać się zaś do tego nie widziałem potrzeby i w polowaniach trwających blisko tydzień, bardzo chętnie udział brałem.

Lecz jak to podobno zwykle bywa, że karta za zfuszerowanie gry mści się, tak i po kilku pierwszego dnia spudłowanych strzałach, nic już na mnie nie wychodziło. Pomimo więc przyjemnej zabawy czułem przy końcu nietylko zmęczenie ale i znudzenie.

Stojąc więc ostatniego dnia na stanowisku, na którem przez pagórek nikt mnie dopatrzeć nie mógł, spostrzegłem na drzewie ptaka, który zwrócił moją uwagę, nie namyślając się długo, a nie dowierzając swemu strzałowi, dla większej już pewności, oparłem strzelbę o drzewo i długo mierząc wystrzeliłem, strzał był celny, bo ptak po nim spadł, a kiedym go obejrzał, poznałem tyle, że jest zdobycz dobra, choć prawdę powiedziawszy, nie widziałem jeszcze jaka, a tego, że

słomka na drzewie siedzieć nie może, całkiem zapomniałem.

Przytroczywszy ptaka do torby po ściągnięciu miotu, pytają się mnie koledzy obok stojący do czego strzeliłem i co ubiłem i zobaczywszy przypiętą słomkę. — A patrzcie — mieliśmy go za fuszera a on słonki bije — wysoko ciągnęła?

— Dosyć wysoko — odpowiedziałem i utrzymałem mój honor myśliwski. — Dopiero kiedy do domu powróciłem i opowiedziałem moim znajomym jak rzecz się miała, okrzyczano mnie kłamcą, dowodząc, że słomka na drzewie siedzieć nie może; pomimo, że tłumaczyłem im, iż gdybym chciał kłamać, wolałbym opowiadać, że tyle a tyle rogaczy lub zajęcy ubiłem, a przecie tego nie czynię, chcąc tylko prawdziwe zdarzenie opowiedzieć.

Nic to nie pomogło i zostałem historycznym myśliwym słomki bijącym na drzewie.

Jaki jednak to był wypadek to zagadka dla panów myśliwych; czy ja ją zawisłą na drzewie po innym jakim strzale moim strzałem strąciłem czy też *casus fatalis* dla mej biedaczki był, że kiedym mierzył do innego ptaka, ona nadciągnęła i ugodzoną została, to nie moją rzeczą rozsądzić, dosyć, że tak było, bo, że w lot w czasie jej ciągnienia nie mierzyłem do niej, to pewne, gdyż jedno, żem tego nie wypatrywał, a drugie, co jeszcze pewniejsze, w locie nie byłbym jej trafił.

XII.

Przestroga. Urywek z pamiętnika.

W Kossowy, za moich lat dziecięcych działo się to samo, co się dzieje zwykle, w wiejskiem zaciszu, gdzie życie płynie spokojnie i regularnie, prowadziło się gospodarstwo rolne i cokolwiek przemysłowo pędziło się dawnym sposobem wódkę, po troszę sprzedawał się las i załatwiano rozmaite interesa. Ojciec ze starszymi braćmi i siostrami odbywał dalsze podróże. W Kossowie bywali rozmaici ludzie, swoi i obcy, znajomi i przyjaciele i my jeździliśmy do nich. Przychodziły różne klęski i zdarzały się wypadki, była cholera, wylewy Wisły, spalił się folwark w Chrząstowicach i w rok potem w Kossowy.

Bywały także lata, okoliczności i zdarzenia pomyślne. Były czasy dobrych urodzajów i dobrych sprzedaży. Bywały odpusty, imieniny, zjeżdżali się od czasu do czasu nawet liczniejsi goście, więc się bawiono i nieraz zabulano sobie porządnie, szczególnie kiedy nietylko w domu rodziców, ale i w sąsiedztwie było wiele dłużej

przebywających gości, po nieszczęśliwie zakończonem powstaniu w 1831 r. Słowem działo się w Kossowy to wszystko, co zwyczajnie wplata się w pasmo życia ludzkiego na część żywota.

Ojciec był wykształcony i widział dużo, miał doświadczenie życiowe, bywał na wozie i pod wozem. Dysputowano nieraz o gospodarstwie i przeróżnych interesach domowych, a nawet jak to często bywało o polityce. Ja słuchając dysputy wytrzymywałem jako tako, bo niejedno zajmowało mnie, nawet utkwiło w pamięci, albo i wpadło prosto do serca. Kazano mi popisywać się deklamacją, albo ktoś starszy brał mnie za egzamin. Poddawałem się tej operacji dość swobodnie, a nawet i chętnie, jeżeli „notabene“ nie trwała ona zbyt długo i nie miałem coś lepszego do roboty, ułożony jakiś figiel, często nierozumny, których płatałem pełno przy wielkiej wolności, jako chłopiec od 7 do 12 lat.

Nieraz ojciec sam zwrócił uwagę na moją niepotrzebną w czasie takich pogadanek obecność, uwalniał mnie, a gdy pogoda zła wyjść nie pozwalała, wyprawiał mnie do innego pokoju.

Chętnie słuchałem, kiedy ojciec lub kto starszy opowiadał coś z historji, z życia znakomitych ludzi i przytaczał jakie ciekawe fakta, bo mówił zawsze jasno, wyraźnie, i w taki sposób, że jego najlepiej rozumiałem.

Lubiłem także, gdy ktoś ze starszych dawnych wojskowych opowiadał o wojnach, wyprawach, bitwach i o różnych własnych, albo też cudzych przygodach. Najchętniej jednak słuchałem, gdy rozmowa weszła na tor opowiadań, wesołych żartów, anegdotek, albo wypadków z czasów nie zbyt odległych, z epoki mego dzia-

da, a dotyczących osób i rzeczy, z któremi w ten lub inny sposób coś mnie łączyło. Kasperek stary sługa mego dziada, był dla mnie obfitem źródłem tego rodzaju wiadomości Lubiłem ciotkę moją Aleksandrę, cioteczną siostrę mojej matki, bo była łagodna i bardzo mię kochała, obdarzała mnie często różnemi łakociami, jak śliwki na rożenkach suszone, kminkiem posypane, lub inne podobne specjały — a że od dziecka lubiłem stare papiery, wiec babcia, okopciwszy koperty nad świecą, zabierali nieraz odemnie cukierki za nie, zapewniając, że są bardzo stare i ciekawe.

Ciotka Aleksandra pierwszego pacierza mnie uczyła, pieściła razem z matką i od niejednej swawoli żywego chłopca strzegła, nim poszła z naszego domu za mąż.

Regularnie co niedziela i prawie w każde święto jeździliśmy do kościoła. A że w domu rodziców było wiele osób, nie kończyło się na jednej karjolce ale często dwoma powozami po cztery konie zaprzężonymi, jeździliśmy do Tłuczani, bo choć było nie daleko to dla górzystego położenia i wąwozów, droga była zła i bardzo ciężka, a nawet czasem, pomimo czterech dzielnych koni i dobrych furmanów z konia powożących, była nie do przebycia. Młodzież często szła piechotą na co ja malec, pamiętam, wielce się cieszyłem, gdyż spacer lasem ładny i przyjemny. Ksiądz proboszcz ze mszą nas czekał, a po nabożeństwie przyjmował śniadaniem

Żywość moja i zbyteczna wolność nie na jedno niebezpieczeństwo mnie narażała

Pamiętam krawca Wincentego Wołocha, którego duże, siwe oczy, jak się przestraszył,

wszystkich bawiły, a bracia moi często mu psikusy płatali, to go sadzali na konie, w wodzie się kładące, to kapslami do uszów mu strzelali.

Raz, kiedy braci w domu nie było, pobiegłem do ich pokoju i wziąłem pistolet, nie bacząc, a może nie rozumiejąc, że on jest nabity.

Wołoch robiący w sali jadalnej, przy wielkim stole stojąc, zajęty robotą, nie zważał na malca w koło niego biegającego, a tem mniej na pistolet schowany pod spencerkiem.

Nosząc długie włosy, miał je przy schylonej głowie po obydwóch stronach spuszczone, tak, że uszy były zasłonięte Chcąc więc lepiej pistolet do ucha przyłożyć, począłem włosy odsłaniać, co zwróciło uwagę Wołocha i szczęśliwie, zamiast do mnie się obrócić, zwrócił głowę w przeciwną stronę i to go uratowało od śmierci, bo w tę samą chwilę pistolet kulą nabity wystrzelił i kula przeleciawszy koło czoła ugrzęzła w suficie.

O ile Wołoch się wystraszył i stracił przytomność, ja nie tracąc chwili czasu, włożyłem mu pistolet do ręki i kiedy na huk strzału wbiegły panny z garderoby, i poczęły badać, co się stało, pobiegłem do matki, ażeby ją zatrzymać, by nie wyszła ze swego pokoju.

Wszystko to mi się udało, krawiec zeznał, że sam strzelił, matka uwierzyła, że ten stuk z winy mojej o tyle pochodził, że spadłem z krzesłem ze stołu, kazała mi pokazać ręce i nogi, czy są całe i za pokutę siedzieć przy sobie.

Moment to jednak trwało, bo ciekawość, co się z Wołochem stało, zniecierpliwiła mnie i

przedstawiwszy matce, że wyjść muszę, pobiegłem do sali.

Tu już zastałem prawie cały dwór zgromadzony i Wołocha, który przyszedł do siebie, opowiadającego, że nie on, ale panicz strzelił do niego.

Począłem więc błagać wszystkich, ażeby nie mówili o tem nikomu, szczególnie Kasperkowi, którego się bałem. Wołocha całując obiecałem, że jak wyrosnę, będę o nim pamiętał, a teraz dam mu moją niebieską sukienkę i więcej już swywolić nigdy nie będę.

Po wielkich prośbach i zapewnieniach przebaczono mi w końcu. Lecz patrząc na bladego Wołocha i przypominając sobie jego przestrach, nie mogłem się wstrzymać od śmiechu i co chwila się śmiałem — co na nowo gniewało biednego człowieka i skoro bracia przyjechali, powiedział im na drugi dzień, tak, że kiedy tego najmniej się spodziewałem, wszedł mój brat do pokoju i opowiedział matce całą przygodę.

Nie śmiałem oczu podnieść, bo myślałem, że nie wiem jaka sroga kara na mnie spadnie, tymczasem matka zbyt słaba dla dziecka, skazała tylko na pokutę i godzinę na sznurku przywiązany byłem do nogi komody.

Dla przestrogi zaś i nauki słabych rodziców dla dzieci, mogę tu więcej takich przykładów swywoli przytoczyć, bo ona łatwo na całe moje życie mogła być ciężkim wyrzutem, gdyż jak poczciwego krawca, tak i innych o mało śmierci nie byłem powodem.

Przygoda ze staruszką Margosią sługą jeszcze, jak Kasperek mego dziada — po latach wielu żywo mi także stoi przed oczami. Staru-

szka, nie mogąc już pracować, doglądała tylko drobiu, czyli, jak w tej okolicy nazywają „gadziny" i dla niej zbierała różne trawki w ogrodach.

Wiekiem pochylona staruszka była maleńka, raz spostrzegłem ją idącą z uzbieraną w płachcie na plecach trawą, i prędko uknułem plan zrobienia jej miłej niespodzianki.

Byłem na lata moje wysoki i zręczniem obręcze przeskakiwał, za co mnie chwalono i kazano mi się często popisywać. Otóż widząc powoli idącą Margosię ścieżką wiodącą ze dworu do oficyn, gdzie mieszkała pod tę porę babka, postanowiłem ją przeskoczyć i nie długo się namyślając plan prędko wykonałem. I gdyby staruszka stanęła, byłbym łatwo przeskoczył, lecz biedaczka, nie wiedząc co się za plecami dzieje, krok zrobiwszy, w moim rozpędzie uczuła mnie na plecach, i padła ze mną, przygnieciona moim ciężarem.

Nie wiele było życia i to nagle ustało. Na krzyk mój przestrach powstał wielki, wszyscy wybiegli z dworu i oficyn, poczęli trzeźwić i posłano po księdza i doktora. Staruszka powoli odzyskała przytomność potłuczenie nie było śmiertelne, odratowano ją i żyła jeszcze blisko rok cały.

Mnie obłożono różnemi karami, siedziałem jak pierwej na pokucie ze sznurkiem u nogi, chodziłem pieszo do kościoła — tylko rózeczka, eardzo w takim razie potrzebna i skuteczna nie była mi znaną. Co więcej nawet zaraz w drugiej podobnej przygodzie z Jędrusiem nie użyto jej i może właśnie dlatego figle w butnego chłopca głowie tak prędko się mnożyły.

Jędruś, chłopiec od kredensu, kilkoma laty starszy odemnie, poszedł raz ze mną na spacer. Było to w jesieni, suchej i pogodnej z małymi przymrozkami, które wodę pościnały, lecz lód był jeszcze słaby. Idąc koło małego stawku, dosyć głębokiego, wikliną obrośniętego powiedział Jędruś.

— Będę się ślizgał, jeśli panicz da mi cztery „czeskie."

Była to moneta duża, okrągła, miedziana — po dwa i jednemu czeskiemu, czyli po sześć i trzy grajcary ówczesnej waluty wiedeńskiej znacząca.

— Nie mam mój Jędrusiu — tylko dwa odrzekłem.

— To za mało — nie będę się ślizgał paniczu.

I kiedym go zaczął prosić i przyrzekać, że później jak będę miał to mu więcej zapłacę, Jędruś na moje prośby był nieczuły. W ten czas rozgniewałem się i powiadam do niego.

— A no, to pokaż mi jak się ślizga? ja się będę uczył.

Sprowadziwszy go nad brzeg i kiedy on stanął na lodzie, trąciłem go całą siłą, tak, że chłopiec poleciał na środek stawku i tam lód pod nim się załamał.

Zobaczywszy to począłem biegać w koło, ażeby mu dać pomoc, ale co się pokazał z pod wody lód się dalej załamywał i Jędruś za każdą razą nurzał się w wodzie.

W ten czas pobiegłem do domu niezmiernie wystraszony, co matka spostrzegłszy, widząc łzy w oczach, poczęła nalegać, bym zaraz powiedział, co się stało. Wylękniony nie mogłem

prędko opowiedzieć, dopiero Kasperek wszystko śledzący i mając mnie zawsze na oku, całą rzecz wytłómaczył, przyprowadziwszy mokrego, bladego, trzęsącego się od strachu i zimna Jędrusia, który w końcu uczepiwszy się wiklimy, uratował sobie życie, napiwszy się przedtem dobrze wody w głębokim „bełku", jak tam nazywa lud podobne małe stawki.

Wina była znowu wielka i od nieszczęścia ochroniła mnie tylko łaska Boża — powinienem był dostać cielesną karę, ale kochająca matka na nią zebrać się nie mogła i jak zawsze skończyło się tylko na pokucie i postrachu.

— Poczekaj nieznośny smarkaczu, opowiem to wszystko, jak tylko ojciec przyjedzie, niech raz wie, co ty robisz — jak z tobą trudno dać sobie radę.

A Kasperek, pokiwawszy głową, zabierając mokrego Jędrusia do kuchni, ażeby się ogrzał, to samo przyznał.

Przy takiej łagodnej ręce słabej matki, bo ojciec każdego prawie roku po kilka miesięcy nie był w domu, szczęśliwie, że w końcu przy zmianie częstej nauczycieli, choć brata się bałem i korzystałem z jego nauki, bo pp. nauczyciele nie umiejąc sobie wyrobić potrzebnej powagi, z niczem odjeżdżali.

Widzę ich jednego po drugim odjeżdżającego z wielką moją radością. Każdemu coś nie dostawało i każdy krótko bawił. Pierwszy Dzieślowski pod przybranem nazwiskiem, jako emigrant, przyjechał z Krakowa. Jedynie swoją kędzierzawą głową i zaniedbaną tualetą pozostał mi w pamięci. Po nim był Mastalski, z niezmiernie krótkim wzrokiem, wykształcony dosyć, ale bez

sumienia człowiek, nie tylko w obec mnie dziecka, ale i siebie samego. Na jego wspomnienie, po tylu latach, oburza się moja natura. Przeczucie tylko rodziców uwolniło mnie od niego, gdyż rozum nie mógł przewidzieć tego czarnego charakteru. Później Kowalski, w peruce rudej, łagodny, więcej zażywający tabaki, jak do ucznia mówiący, także niedługo bawił. Nakoniec Nikiel, maleńki człowieczek, przywieziony przez ojca mojego z Rusi, z liszajami na twarzy, które mu przeszkadzały często się golić, a czasem i dosyć z powierzchowności śmieszny, nie umiał sobie wyrobić powagi. A przy tem będąc mandatarjuszem, więcej zarządem niż mną się zajmował. Był to jeden z tych Niemców, których ojcowie przywędrowali pieszo na urzędy do Galicji, a potem synowie stanąwszy silnie na nowej ziemi, nawykali do niej, i w pokoleniu następnem wiązali dolę swą z jej dolą. I częstokroć pracą przekazywali ład, porządek i dobre imię w spuściźnie dzieciom i wnukom. Z początku przewagę wychowania oddano w Galicji cudzoziemcom, więc i domowi pedagogowie, jak Nikiel, byli Niemcy.

Proszę jednak nie myśleć po moim opisie panów nauczycieli, że byłem próżniakiem, zdatnym tylko do zbijania bąków. Tak nie było; uczyłem się dobrze, bardzo wcześnie umiałem na pamięć mnóstwo bajek Krasickiego, rozmaitych balad i wierszy Mickiewicza, do szkół tylko nie mogli się zebrać rodzice oddać mnie.